TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

Fryckowe czasy



NASZA KSIĘGARNIA

513





TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

FRYCKOWE CZASY

LEGENDA

NASZA KSIĘGARNIA
WARSZAWA
1949

Zbiory Stowarzyszenia
513

ILUSTROWAŁ STEFAN STYCZYŃSKI

sygn. 513
akc. bnk/1950

BIBLIOTEKA NARODOWEGO INSTYTUTU FRYDERYKA CHOPINA

Zam. Nr 1023/49 z dnia 28. X. 1949 r. — Skład rozpoczęto 28. X. 1949 r. Papier ilustracyjny kl. V, 90 gr, format 70x100. Nakład 10 500 egz. Druk ukończono w marcu 1950 r. R-1-19049

DRUKARNIA R. S. W. „PRASA" CHORZÓW-MIASTO; PLAC 1 MAJA 17

PRACA WYRÓŻNIONA
NA MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE
NA SCENARIUSZ Z ŻYCIA
FRYDERYKA CHOPINA
ZATWIERDZONA PRZEZ BIURO
KOMITETU WYKONAWCZEGO
ROKU CHOPINOWSKIEGO 1949
DNIA 10 CZERWCA 1949 R.
L. DZ. N/1379/49



Mazowiecka długa droga przez wieś Żelazową Wolę ciągnie się z południa na północ: prosta, równa, pokrajana cieniami topoli w poprzek. Jest wczesne rano. Słońce, kiedy wita wiejskie domy, świeci jasno i skośnie. Tak samo skośne są cienie, jakie usłużnie powstają od słońca. Rzędy wysokich topoli rosną przy drodze. Za płotami obok chałup siedzą niewielkie sady. Tulą fioletowy mrok rana pod gałęziami jabłoni.

Wieś wygląda nieźle. Nie przeszła rugów, jak Oryszew, Mistrzewice i Ruszki, więc obok spaczonych ruder o poszyciach krytych zielonymi

płatami mchu ściany chat niektórych przez zieleń drzew przebłyskują bielą. Ganeczki tu i owdzie podpierają fronty domów i ocieniają drzwi. Ganeczki są różne i drzwi są różne. Niejedne wzbogacone rznięciami i zwykłymi listwami. Ganeczki, drzwi i proste ozdoby zrobił wiejski cieśla siekierą, a pogładził ośnikiem. W słońcu układają się ostro linie pionowe i miękko poziome — cień pogrubia je lub ścienia.

Pod wierzbami, pod rozłożystymi konarami wiązów siedzą niewielkie domy chłopskie. Mają słomiane strzechy i małe okienka, a przed każdym leży rozdrapana przez kury kupa nawozu. Sen tu jeszcze panuje przedświtowy. Wieś jest cicha po całej nocy i dopiero poczyna się budzić. Gdzieniegdzie ziewnął pies lub zaskrzypiały otwierane drzwi chałupy. Ptaki tylko śpiewają od samego rana. Świergoczą wróble, pogwizduje wywilga, ćwierka zięba i klekocze bocian. Jaskółki przeszywają rosisty chłód świtu.

Niedługo nadejdzie karbowy i pocznie wypędzać ludzi do roboty na pańskie.



Oto jest domostwo Owczarka: stodółka, izba mieszkalna i obora pod jednym poszyciem. Przed kilkudziesięciu laty pobudowano szczytem do drogi stodółkę z okrąglaków krzyżując bale na rogach w długie węgły, po których dzieci w niedzielne popołudnia opierając nogi na przyciesi wchodzą aż do obierek pod strzechę. Przy stodółce

izba o małym okienku przekreślonym ramami w znak krzyża i razem z izbą obórka na krowy. Prowadzą do nich ze dworu jedne drzwi. W lewo skręca się do obórki, a w prawo do mieszkania. I w sionce, i w izbie polepa z gliny.

W izbie na wyrkach śpi cała rodzina, w obórce na słomie koło żłobu przy krowich pyskach nocuje zawsze stary Michał. Od dawna już pasa tylko krowy. W dzień jest z nimi na pastwisku, podczas nocy w obórce. W tym śpi, w czym i chodzi we dnie. W duchocie obórki leży całą noc jak zabity, rano budzą go pierwsze poryki głodnych zwierząt. I te-

raz się zbudził. Przez szpary prześwitujące w ścianach poznał, że czas wstawać. Podniósł się, strzepnął słomę z czapki i szynela, odsunął zaworę i zaczął wyganiać bydło. Duży łaciaty pies wylazł gdzieś zza ściany i uwija się po podwórku.

Krowy wychodzą na drogę, stary Michał idzie za nimi. Ma na sobie zużyty, połatany i podarty płaszcz żołnierski, wąsy jak u wiarusa napoleońskiego, przez czoło z lewej strony aż do policzka krechę — wyraźną bliznę różowiejącą mocnym śladem. Michał jest boso i w parcianych spodniach. Włosy długie, na nich czapa b a r a n i c a już wyraźnie z włosa oblazła. Pies Azor postępuje za nim wiernie przy nodze.

Michał ma we wsi opinię pomylonego. Widać to po jego twarzy. Oczy niby zaspane, niby nieprzytomne, czasem — w pewnych tylko okazjach — przebłyskują rozsądkiem. Wówczas spod wielkich brwi przebłyskuje światło dawnej mądrości i wiedzy. Idzie za stadkiem swojej ż y w i n y, dźwiga w prawej ręce mocny kosztur, a pod lewą pachą trzyma piszczałkę. Jest to rodzaj patyka z wydrążonym środkiem i powyrzynanymi dziurkami. Kupił ją sobie na odpuście w M i e d n i e w i c a c h czy B r o c h o w i e.

Posuwa się Michał za bydłem i woła:

— A hej! A nuże!

Stąpa równo, prosto i mimo siwych włosów dość żwawo. On i stado jego idą wzdłuż wsi w stronę pastwiska, przecinają mocne cienie topoli — cienie położone przez słońce w poprzek drogi omykają się po grzbietach bydła.

Oto jest gospodarstwo Tomali. Podwórko i zabudowania otoczone są niskim chruścianym płotkiem. Na froncie chałupy — ganeczek: cztery słupki oparte na wkopanych w ziemię kamieniach i połączone listwami. Z otwartej bramy wypędza krowy Antek. Zbudziła go matka ze snu i obarczyła robotą. Antek ma konopiastą czuprynę, ostrzyżoną „pod donicę". Grzywka nad czołem układa mu się w równą linię i taką samą linię ma nad spalonym przez słońce karkiem. Z wierzchu nakrył głowę ogromnym kapeluszem słomianym. Ma na sobie płócienne ubranie: porteczki o długich nad kostkami owiązanych nogawkach, koszula wypuszczona na wierzch i w pasie przewiązana płócienną krajką — wąskim łaszkiem lnianym.

Antek pędzi stadko krów wzdłuż wsi za starym Michałem.

— A gdzie? A nuże! — woła popędzając je kijem.

*

Z podwórka przy małym domku Guzków wypędza krowy drobny Wojtuś. Jest tak mały, że nikt by mu tych lat, które ma naprawdę, nigdy nie dał. Zagania bydło batem, to jest rzemykiem uwiązanym na olszynowym pręcie. W szczupłej, okrągłej buzi siedzą małe, żywe oczki. Czupryna jak z konopi naokryta samym denkiem z kapelusza. Rondko, czyli tak zwane skrzydło gdzieś się zapodziało w bitkach po wsi i na pastwisku. Wojtuś ma na sobie długie, czarne, ze lnu porteczki, na nie wypusz-

czoną koszulinę przewiązaną zwyczajnym powrozikiem. Wywija batem na swoje krowiny i pędzi je za innymi. Kiedy matka patrzyła za nim z furtki, widział jej się zrazu duży i wyraźny, a potem robił się coraz mniejszy na drodze, na której przed nim idą tamci.

Wojtuś krzyczy wywijając batem:

— A gdzie? A drogą!

✲

W grupce zabudowań Siniaka najciekawsza jest stodoła. Ma niski, omszony dach i grube krzyżaki na wrotach. Zaraz przy nich przed domkiem bez ganka a o wypaczonych ścianach rychtuje się do wypędzenia krów Jasio. Spóźnił się, zaspał i teraz gwałtownie szuka kozicy. Jasio ma na swojej długiej czuprynie czapkę, tak zwaną maciejówkę, bez daszka. Jest ona wyraźnie na niego za duża, spada mu na kark lub na oczy, zależnie od tego, czy Jasio popchnie ją w tył, czy ściągnie na czoło.

Stadko jego bydła stanowi tylko jedna krowa i cielaczek trzymający się niewolniczo boku matki. Mimo gorących poszukiwań Jasio nie znalazł żadnego groźnego narzędzia na swoje ulubienice. Pędzi je bez kija. Ręce włożył w kieszenie wielkiego, za dużego na niego kubraka „po oćcu", kubraka sięgającego mu aż do kolan. Porteczki chłopięcą modą przy ziemi postrzępione. Koszulina, rozchełstana na piersi, odsłania spaloną skórę.

Szybko zaczął popędzać za innymi.



Oto jest znowu dom Frankowskiego: płot chruściany, podwórko z gnojownikiem pośrodku, przy drzwiach ganeczek ozdobiony wyrzynanymi w desce esikami nad wejściem. W gęstym sadku pod gałęziami, gdzie się kryje cień głęboki, drzewa kwitnęły całą wiosnę. Najpierw zapłonęły różowo jabłonki, po nich przyszła kolej na białe kwiaty grusz i śliwek, aż teraz drzewa ściemniały i dźwigają cierpki owoc. Na topoli gniazdo bociana: duże, zwichrzone, oparte na starym kole. Widny na nim bocian podparty jedną nogą.

Furtką z obejścia wysypuje się stado białych, dobrze już opierzonych gęsi.

Za nimi Jagusia.

Ma na sobie sukienczynę w paski czerwono-czarne, ręcznie przez mamusię w domu ś c i b a n ą. Zmarszczek na niej w pasie i u szyi co niemiara. Sukienka jest długa i kryje całe nogi, tylko w ruchu od spodu błyskają bose stopy. Na głowie chusteczka „w okrąg" zawiązana. Opina szyję, a jeszcze bardziej podkreśla rysunek buzi, która jest prawie trójkątna. Linie owalu łączą się ostrą bródką u dołu, a giną w kędziorach szerszego czoła. Oczy Jagusine są wielkie, niebieskie, ocienione długimi rzęsami. Nosek prosty, cienki, z lekko rozszerzonymi skrzydełkami nozdrzy.

Jagusia wierzbową gałązką zagania gąski po drodze wzdłuż wsi.

— A lela! — upomina je dokładnie.

Mała, pracowita i gospodarna, zagania stadko drobiu po wsi za Wojtusiem. Nie chce być od nich gorsza i spóźnić się na pastwisko.

Grupy pędzonych krów mijają wioskę, wzbijają tumany kurzu leniwymi racicami, dążą ku ł ę g o m. Potrząsają w marszu wielkimi łbami uzbrojonymi parą rogów, u pysków ich wisi nitka białej śliny. Czasem w marszu przeraźliwie zaryczą.

Każdy z pasterzy „trzyma im się ogona", broni przed wejściem w szkodę. Więc za jednym stadkiem Michał z fujarką, za drugim Antoś w kapeluszu, za trzecim Jasio w kubraku i po nim drobny Wojtuś. Jagusia na ostatku dąży za nimi, a dąży.

BIBLIOTEKA INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA

Wreszcie pastwisko — równia mazowiecka: płaskie, rozległe. Rosną na nim olszynki, płynie struga. Cały świat dookoła pełen jest malarskich obrazów.

Z jednej strony pod wiatrem faluje nieskończoność zbóż. Łan żyta jest inny, kiedy go się widzi z daleka, a inny tuż z bliska, kiedy widać piękną pracę każdego źdźbła opierającego się wiatrowi.

Tam dalej siedzą ponure wierzby - g ł o w a c z e. Cały ich rząd. Wiatr omuskuje młode gałęzie i młode liście. Cofają się i kłonią pod wiatrem.

Zza chwiejących się trzcin wschodzi słońce. Zrazu jako płaski, czerwony krąg, a potem promienista bania.

To znowu ranne mgły. Ich różnorodność jest zdumiewająca. Nad żytami wyglądają jak chuchnięcie na chłodną szybę. Nad łąkami smużą się nierównomiernymi kłaczkami jak kadzidło kościelne, to znowu leżą białymi płatami na kształt zwojów k w a p u. Czuby olszyn wiszą nad nimi w powietrzu: są bez podstawy.

Rozsypane ma murawie gęsi i bydło skubią trawę. Białe i mniejsze punkty to gęsi, większe i srokate — krowy. W oczach pasterzy każda ma swoją nazwę. Krowa w białe i czarne łaty — to Granula. Krowa z przewagą białego — to Bielicha. Krowa czerwona — to Krasula, a czarna — to Czarnula. A są tu przecież jeszcze Łysule i Myszule, jeśli sztuki podobne są z barwy do myszy lub są czarne i mają ł y s i n ę białą.

Krowy jedzą. Pasterze siedli rozsypaną grupką pod wierzbą — Michał z kijem i piszczałką w ręce

— rozmawiają. Minął lekki chłód poranka, rosa już trochę przeschła, zrobił się pełny dzień. Przyszła więc dzieciom chęć na pogawędkę.

Pierwsza odezwała się Jagusia:

— Ciekawe, cy tez dzisiej Frycek przyńdzie sie do nos bawić, cy nie?

— Eee tam — odpowiada na to Wojtuś — jesce śpi, bo po co mu ta wstować...

— Przecie z matką gro — dodaje zaraz Antek — to jak ci tero przyńdzie?

Ale Jagusia upiera się przy swoim:

— A przecie przedwcoraj był!...

— Był, ale co sie go to nasukali — odpowiada Jasio — i Hipolit, i Kasia, a nawet sama pani wysła za sod...

Teraz do rozmowy dzieci wtrącił się Michał:

— Ty, Jagusia, jakbyś go zawołała, to na pewno by przysedł!

Spojrzał na nią długo: znacząco i filuternie, jakby chciał tym wypowiedzieć coś więcej, niż zawarł w poprzednich słowach.

— A pewnie! Jakbyście mi dali piscołki — odpowiada Jagusia odważnie — to bym posła... Pamiętocie, jak to było w tamtą niedzielę? Ino zagwizdałam, zaro przylecioł sie bawić...

— Dóm ci — godzi się Michał w te pędy — ale jak mi kiedy nawrócis Granuli od skody.

— Dobrze, nawróce kiedy — przytakuje Jagusia bez namysłu — ale dejcie i niech chłopoki idą ze mną, bo sie sama boje...



Chłopcy się oburzyli, Antka poruszyło to najbardziej:

— O, boi sie! A przedtym to sie nie boła! Prosto miedzami, a potym juz sod...

— A tam strasy! Pod drzewinami! — trzyma się Jagusia swojego.

— Eee tam, strasy! Gdzie strasy! — odpowiada kpiąco Wojtuś.

Jagusia znowu:

— A strasy! Nie opowiadoł Frycek? Mówił, ze w południe p r z y p o ł u d n i c a chodzi między drzewami i strasy. Mówił mu Hipolit...

Michał zabiera znowu głos i wtrąca do rozmowy dzieci swoje trzy grosze:

— To ino tak mówią, zebyśta na gruski nie chodziły w południe... Strachów ni ma na świecie...

— A są, Frycek mówił, ze są — utrzymuje Jasio idąc w pomoc Jagusi — jo mu wierze! Roz mie tam coś wystrasyło, jak byłym na malinach. Tylko tak: szuuu!!! — sumiało po drzewach!

— Tak, ale Frycek to kpiorz! — wyjaśnia mu chętnie Michał.

Jagusi ta sprzeczka nie w smak. Za długo się wszystko wlecze, rada by bowiem już biec, ale nie ma piszczałki. Zwraca się więc szybko do chłopców:

— No, idzieta po Frycka? Michoł, pilnujta krowy i dejta mi piscołkę!

Michał się zgodził, dał Jagusi piszczałkę i gromadka dzieci ruszyła. Poderwali się z ziemi chętnie, wyprawa przyniesie zmianę miejsca i zdarzeń. Wyszli spod wierzby, przeszli razem po pastwisku, a potem zaczęli sunąć rzędem po miedzy. Jagusia idzie na przedzie. Ma zwężone uwagą oczy. Pilne i wypatrujące. Im bliżej dworu, tym dzieci posuwają się wolniej. Wreszcie Jagusia staje i znów bystro patrzy przed siebie. Przed dziećmi tuż dwór — tuż park. Kępa zieleni opięta płotem. W wyrwie między kłębami gałęzi widać biały, trójkątny szczyt — pałac. Dzieci ostrożnie podchodzą do płota, kucają skupione i przejęte. Znają te okolice z niedozwolonych podejść i skradań: na maliny, na jabłka, na porzeczki. Odsuwają zmurszałą deskę, Jagusia przez otwór przesuwa się pierwsza, za nią Wojtuś. Reszta chłopców przylgnęła na ziemi w trawie.

— Nie zgub piscołki! — woła za nią ostrzegawczo Wojtuś, który zasiadł w łopianach zaraz za parkanem.

Chwasty tu są wielkie, rozrosłe i gęste. Skryły chłopca całkowicie.

— I nie gwizdej za mocno, bo cie Hipolit usłysy!— dodaje na drogę Jasio.

— A nie bój sie — wtrąca jeszcze Antek — bo my tu siedzimy...

Jagusia sunie przez park. Ma teraz w oczach odcień trwogi — w twarzy skupienie. Przechodzi zielska koło płota przyciskając piszczałkę do piersi. Przechodzi gracowaną ścieżkę. Wstępuje w maliny. Biegnie grabową aleją, skręca w krze berberysu, przecina jakiś trawnik odkryty, kuli się i daje nura w zbity gąszcz jaśminów.

Przez cały ciąg tej wędrówki całą sobą wyraża niepewność, obawę, prawie strach: ogląda się, przystaje, patrzy, słucha. Nie chce wpaść na ogrodnika, na stróża, na sadowego, Kasię czy Hipolita. Prawie stale spogląda Jagusia w stronę dworu. W ścisłej zależności od kierunku swojego posuwania się widzi coraz to inne części dworu. Raz biały front z kolumnami, raz ciemny placek okna wprawiony między dwie gałęzie, to znowu mignie się jej w oczach kawał równej ściany, a po niej sam ganek pocięty liniami schodów. Albo następnie pokaże się znowu szczyt — ostry kąt nadziany na zieleń gałęzi. Zmienia się to stale, przesuwa z jednej strony na drugą, maleje i oddala, podnosi i opada.

Dwór i park jest to świat oglądany zawsze oczyma ciekawości, podziwu i obawy.

Mieszkanie państwa Szopenów składa się z jadalni, kuchni, gabinetu, sypialni państwa starszych i sypialni Frycka. W stołowym na ścianach wisi kilka portretów jakichś małoznacznych w dziejach przodków, w rogu stoi fortepian. Pan Mikołaj Szopen, ubrany warszawską modą, ma na sobie lekki, koloru seledynowego, fraczek stosowny na letnie upały, pod szyją biały gors koszuli o szerokim, pod brodą wywiniętym kołnierzu, z zawiązanym pod nim luźno krawatem tabaczkowej barwy. Krótkie spodnie, obcisłe na udach, zawiązywał ówczesną modą pod kolanami. Białe pończochy i płytkie buciki dopełniały stroju. Włosy miał uczesane gładko i, choć już mu rzedły, nie nosił peruki. Od kiedy Napoleon wyśmiał przed swoimi generałami tę ozdobę głowy, stała się ona niemodna.

Pan Szopen, który córeczki zostawił w Warszawie pod opieką służącej, a sam wpadał na krótko do Żelazowej Woli odwiedzić żonę i syna bawiącego na wakacjach z matką — załatwia w gabinecie korespondencję: pisze. Za godzinę parobek dworski odwiezie pocztę do Sochaczewa, muszą więc być listy na ten termin gotowe.

W pewnym momencie spojrzał na wielki, cebulowaty zegarek i powziął decyzję. Wychylił się ze stołowego pokoju i zawołał na cały głos:

— Kasia, budzić Frycka!

Już jest na to czas najwyższy. Chłopak musi zabrać się do pracy, bo choć ojciec martwi się mizernym wyglądem syna i małym jego wzrostem, przedłuża troskliwie godziny jego snu i pilnuje jedzenia



— praca pozostaje zawsze pracą: wymaga punktualności i uporu.

W kuchni rezyduje pani Szopenowa z kucharką Martą. Matka Frycka w jasnym szlafroczku przewiązanym złotym sznurem gotuje śniadanie. Słysząc głos męża wychyla się do sypialni, gdzie Kasia trzepie łóżka i woła rozkazująco:

— Kasia, budzić Frycka!

Frycek leży na łóżku — śpi jeszcze. Na podłodze porzucone: koń drewniany, czako ułańskie, szabla i jakiś pistolet drewniany. Ubranie Frycka złożone jest na taborecie dość starannie. Bujna czupryna

chłopca bezładnie spoczywa na poduszce. Frycek śpi głęboko. Kasia tarmosi go lekko i woła:

— Frycek, wstań: zaraz będzie śniadanie!

Ale Frycek nie poddaje się łatwo. Broni się przed wycuceniem. Odwraca głowę na obie strony, zmienia położenie, mruczy z niezadowolenia — chce spać. Kasię oburza brak posłuchu:

— Wstaj! Bo powiem panu Hipolitowi!

Frycek jest gniewny i rozkapryszony. Chwyta koszulę, zwija ją w kłębek i rzuca w kierunku Kasi. Tego tylko brakowało. Kasia ma swoją ambicję, nie może takich rzeczy puścić płazem. Odwołuje się więc do siły skuteczniejszej. Woła Hipolita. Stary żołnierz, którego pokrewieństwo dziesiątej wody po kisielu z hrabiami Skarbkami zadomowiło od lat na dworze w Żelazowej Woli, pieczę nad chłopcem trzymający z czystego dlań tylko uczucia, w stroju będącym mieszaniną cywila i wojskowego, przypominający wiarusa sprzed pięćdziesięciu lat, dłubał coś w k r e d e n s i e. Na skargę Kasi udającej się do niego o pomoc wyprostował się z godnością, strzepnął poły surduta i wszedł do sypialni Frycka.

Ten spał — jak gdyby nigdy nic — odwrócony do ściany.

— Frycek, baczność! Czas wstać!

Nie dzieje się nic: cisza — Frycek śpi.

— Frycek, baczność — wstawaj!

Frycek odwraca się i chwyta bucik z wcale niedwuznacznym zamiarem. Ale Hipolit prostuje się służbiście, marszczy brwi i rzuca po żołniersku:

— Frycek, do krocset! Baczność, przed k a p o r a l e m Kościuszki stoisz! Wstać!

Groźny ton pomaga. Frycek wie, że odwołanie od tych rozkazów może być tylko do „tatusia albo mameczki". Lepiej więc nie. Zwiesza głowę, wstaje — zaczął się ubierać, myć, następnie przywitał ojca, matkę, powiedział grzecznie dzień dobry Marcie w kuchni, Kasi i Hipolitowi, jakby chciał stwierdzić, że nie żywi do nich urazy.

Potem pije śniadanie.

Po jedzeniu pan Szopen zerka znowu na zegarek i mówi:

— Frycek, grać będziesz z mamą. Ja dziś nie mam czasu. Będę tylko słuchał przez drzwi!

Dobrze, będzie grał, chcć wolałby zobaczyć trochę świat, bo na dworze jest pogoda — słonecznie i zielono. Czerwcowy dzień rozpalił się już na dobre.

Krząta się więc koło fortepianu, siada na skrzypiącym cokolwiek taborecie, rozkłada szkołę do gry na fortepianie i brzdąka lewą ręką od niechcenia. Pani Szopenowa siada obok niego z robótką. Patrzy mu na ręce. Frycek już gra — „odrzyna kawałki" — puste, nudne, mające „ćwiczyć palce".

Za oknem lato usadowiło się w parku i daje znać o sobie wielością swoich haseł. Od czasu do czasu lekki wiatr zaszumi gałęziami wiązu, z sęka drzew grubych i chropawych rozlega się radosne popiskiwanie zięby. W dalszych częściach sadu pogwizduje donośnie wywilga. Ze szczytu akacji dolatuje radosny jazgot p o k l ą s k w y. Czasem w oknie, między dwoma skrzydłami ram, zawiesi się w powietrzu żółty owad podobny do osy. Stoi w miejscu jak wmurowany w przestrzeń i wydaje skrzydełkami cieniuteńki ton, brzękliwy i zawodzący.

Dźwięk ten trwa — jednolity, równy, radosny — aż znika razem ze zniknięciem owada.

Frycek gra pilnie, ale bez zapału. Po pewnym czasie nuży się widocznie. Przerywa sam, z własnej woli.

— Mameczko, już pauza?

Pani Szopenowa zachęcająco:

— Nie, jeszcze trochę. Graj — graj...

Frycek zaczyna się targować:

— Jakie to nudne!...

Pani Szopenowa jest innego zdania.

— Graj, graj...

Frycek się przeciąga, kręci niespokojnie na taborecie, wzdycha, wreszcie mówi:

— Mamusiu, a mogę zagrać tego marsza, co go śpiewa pan Hipolit?

Pani Szopenowej żal tego synka męczącego się dziś nad ćwiczeniami jak nigdy, waha się, spogląda ukradkiem na drzwi gabinetu męża i mówi do syna szeptem, jakby tym sposobem chciała ukryć przestępstwo syna:

— Zagraj już, zagraj!

Frycek poprawia się na siedzeniu, przylega do klawiatury i gra. Marsza kościuszkowskiego śpiewano w czasie krótkiego okresu walki od Racławic do Maciejowic. Śpiewał go pułk Madalińskiego, śpiewali kosynierzy krakowscy i ci wszyscy, którzy byli zapatrzeni w gwiazdę naczelnika. Melodię pieśni, echa połanieckiego uniwersału i mowy Kościuszki zachował w Żelazowej Woli stary Hipolit i on przedstawiał sobą tutaj żywą ich pamiątkę.



Hipolit podczas wstępnej gry Frycka wyniósł swoje stare kości na słońce przed dom. Kurował ciepłem żołnierskie reumatyzmy nabyte w długiej karierze wojennych zdarzeń, zamkniętych w granicach Dubienki, gdzie walczył pod rozkazami księcia P e p i, i Maciejowic. Cieszył się latem, pogodą, słońcem i bawił a n t y p k ą z krogulczym dziobem. Trochę czuwał, trochę drzemał. Raptem słyszy... marsz — jego żołnierski, kościuszkowski marsz. Stary spręża się w sobie, prostuje, antypkę bierze na ramię chwytem przepisowym i w ulewie dźwięków wypadających oknem ćwiczy kilka kroków

marszu, zwroty, wreszcie z podciągniętą brodą i z kijem na ramieniu wchodzi do wnętrza mieszkania i patrzy przez otwarte drzwi.

To, co zobaczył, zmusiło go do ściszenia kroku i do zatrzymania się. Popatrzył naokoło: w głębi przy fortepianie — Frycek. Widać go z boku. Matka stoi tuż i uśmiecha się, ojciec w drzwiach zasłuchany. W przeciwległych drzwiach Kasia i kucharka Marta. Jedna za drugą. Kasia rozradowana na twarzy, Marta skupiona i surowa.

Właśnie odezwała się:

— No, przecie raz coś takiego do ludzi. A to zawsze ino „brzdąko i brzdąko".

Frycek bowiem przed chwilą zmienił już grę. Urwał marsza i znowu zwrócił się do matki:

— Mameczko, a mogę teraz zagrać to, co Michał na piszczałce?

Pani Justyna Szopenowa zwraca się pytająco do męża, ten kiwa głową:

— Niech gra!

Fryderyk zagrał mazurka, właściwie oberka. Jego muzyka daleka jest jeszcze od tej doskonałości, jaką notował w swoich o p u s a c h podczas emigracyjnej wędrówki przeżywając echa dzieciństwa w chwilach tęsknoty za krajem. Muzyka jego jest bliższa Michałowych grań, ale przecież lżejsza, polotniejsza, wyzwolona z twardej rytmiki śpiewki mazowieckiej.

W pewnej chwili pan Szopen przerywa:

— No, dosyć już tych chłopskich kawałków. Hipolicie, wyjdziesz z Fryckiem na spacer do ogro-

du. Tylko proszę go pilnować, żeby znów nie uciekł do chłopaków na łąki!

Hipolit w swoje słowa zgody wkłada całą karność dawnego wiarusa:

— Słucham pana!

Wychodzą wspólnie z Fryckiem do ogrodu. Czas jakiś postępują żwirowaną ścieżką wzdłuż zielonej ściany, potem skręcają za rogiem oficyny i dochodzą do tej samej ławki, na której przedtem siedział sam Hipolit.

— Siadaj — mówi opiekun — i bądź grzeczny!

— Ale jak grzeczny? — droczy się Frycek.

— No, po prostu grzeczny! — huczy upominająco Hipolit.

— Ale jak? Tak?

Frycek chce zaraz pokazać różne rodzaje grzeczności. Podsuwa nogi pod ławkę, prostuje się, wyciąga szyję i udaje grzeczną pannę, co to umie „buzię w ciup, a rączki w małdrzyk" ułożyć.

— Nie błaznuj! Bądź grzeczny! — huczy dalej Hipolit nadrabiając własną powagę srogim marsem na twarzy.

— No, to tak? — poprawia się zaraz Frycek.

Dla odmiany robi „trusię". Nogi podnosi na siedzenie ławki, brodę przytknął do kolan i zamknął oczy. W tej pozycji mówi kapryśnie:

— Lepiej niech mi pan Hipolit opowie, jak Kościuszko w sukmanie chodził!...

— Dobrze, opowiem ci. A będziesz grzeczny?

— Będę! — przyrzeka gorąco Frycek.

— No, to słuchaj — ucieszył się pan Hipolit.

Wciągnął głęboko powietrze, nastroszył się od-

powiednio, laskę z krogulczym łbem przełożył do lewej ręki i zaczyna opowiadać. Mówi obrazowo — wąsami, rękami, całym sobą, a nawet laską:

— ...tam stała piechota, tam antyleria, tu była taka góreczka, a tu kosyniery, widzisz. Parada — mówię ci... Gadają: będzie przegląd, na przegląd przyjedzie sam naczelnik... I jak ci się zakotłowało na drodze — kurz, kurz, nic tylko kurz i konie... „Baczność!" krzyczą wszędzie. „Baczność!" krzyczą jeszcze bardziej. I naczelnik przyjechał. Naczelnik? My patrzymy, a on...

Frycek patrzy w twarz Hipolitowi i słucha jak urzeczony. Wtedy zza krzaków bzu czy jaśminu wychyla się twarzyczka Jagusi. Dojrzała ich wreszcie z daleka. Siedzą pod ścianą zieleni na ławeczce: Hipolit i Frycek koło niego, widni z daleka. Dziewczyna przytyka do ust piszczałkę i wydaje nieokreślony gwizd.

Uszu Frycka dobiegł głos Jagusinej piszczałki. Drgnął cały i zamienił się w słuch. Patrzy uważnie naokoło po drzewach, po krzakach i ścieżkach. Obraz wyczarowany słowami starego żołnierza prysnął, tym bardziej że zza domu wyszedł ogrodnik, dawny przyjaciel pana Hipolita. Miał na sobie płócienne, na wpół chłopskie ubranie, kapelusz ogrodowy, w ręku ogromną grackę.

Na widok przyjaciela odezwał się przewlekle:

— Aaa, pan Hipolit! Dzień dobry! Dzień dobry! Jak zdróweczko? Może tak tabaczką się poczęstujemy, co? Dawno już jegomości pana Hipolita tabaczki nie próbowałem! Dawno! A dobrą jegomość pan Hipolit ma tabaczkę! O, ja wiem!...



Pomiędzy starcami następuje ceremonia częstowania się tabaką, głośnych podziękowań i niemniej głośnych kichnięć. Przyjaciele zajęli się sobą. Poza zwierzeniami o strzykaniach w kościach i o bólach w krzyżu nic dla nich nie istnieje. Korzysta z tego Frycek, cofa się od ławki za krzak, chowa przed oczyma Hipolita, a potem daje nura w ogród. Ujrzała go Jagusia, wychyliła się ze schowka i woła do siebie:

— Chodź, Frycek, bedziemy sie bawili w „masło". W nocy padoł desc i w rowie jest troche wody...

Frycek się godzi — jakżeby nie? Godził się prze-

cież tyle razy. Biegną we dwójkę przez te same krze, maliny i chwasty. Głowami rozcinają gąszcze i po chwili są na miejscu. Tu przy płocie czekają chłopcy. Coraz to któryś odchyli deskę, spojrzy w głąb sadu i wypatruje.

— Idą! — mówi Wojtek.

Jagusia i Frycek zbliżają się, przełażą przez dziurę, chłopcy ich otaczają i mówią na przemiany:

— Wies, mozemy robić „masło“ — jest woda!

— Dobrze! — mówi Frycek — chodźmy! A Michał jest?

— Jest! — odpowiadają dzieci jedno przez drugie.

Ruszyli biegiem miedzami wyciągnięci malowniczo — biegną, „aż im się łby trzęsą“. Raz sznurują rządkiem, kiedy są na miedzy w żytach, raz tłoczą się grupką na szerszej dróżce, to znowu rozwijają się w rzadki szereg, gdy droga wypadnie im na otwartej przestrzeni. Warunki terenu zmieniają im się raz po raz: to pastwisko, to łączka — wtedy biegną na przełaj, a jeśli rów — więc skaczą. Frycek na równi ze wszystkimi: wiatr mu rozmiata kędziory.

✲

Na niewielkiej strudze przy pastwisku dzieci budują z a s t a w ę. W jednostajnym czasie bytowania na pastwisku trzeba coś robić. Więc robią różne takie swoje zabawki. Budują kuchnię w ziemi i cieszą się, gdy wylatuje dym ku górze ulepionym z gliny kominem. Robią koszyczki, miotły,

grają w skowronka, w świnkę, a czasem w przerywane wojsko.

Jagusia, Antek, Jasio i Wojtek budują zastawę. Chłopcy zawinęli nogawki, Jagusia podkasała sukienczynę do kolan. Noszą ziemię, d a r n ę i kładą to w poprzek koryta strugi. Skąpy warkoczyk wody zatrzymał się i woda powoli rośnie w górę.

Na brzegu, wyżej nieco, siedzi Michał i koło niego pies. Patrzą zasępionym, jakby leniwym wzrokiem na dzieci. Po drugiej stronie stoi Frycek, biorąc udział w wysiłkach dzieci oczami i ruchami rąk. Sam by się chętnie zabawił, ale jego schludne ubranie i buciki na nogach wzbraniają mu tego. Więc tylko oczami i twarzą...

Grobelka się wznosi i wody przybywa. Praca dzieci robi się coraz bardziej gorączkowa. Znać przecież wynik własnego wysiłku. A nie odbyło się to tak przecież prosto.

Najpierw Antoś wziął całą rzecz w swoje ręce.

— Posukej, Wojtek, gdzie bedzie nojlepi.

Więc Wojtuś idzie wzdłuż rzeki, szuka wąskiego koryta i wyższych brzegów.

— Wiecie, tu bedzie dobrze! — orzeka Wojtuś tonem wytrawnego znawcy i zaczyna podwijać nogawki.

— Jo udepce dno, Antek bedzie ył d o r n e, Jagusia bedzie nosiła lo mnie, Jasio bedzie donosił piosek, a Frycek...

Wojtek raptownie przerwał i spojrzał na Frycka: na jego buciki, na jego eleganckie ubranko. We wzroku Wojtusia mieści się mieszanina uczuć: zazdrości, politowania, lekkiej wzgardy. Na twarzy

Wojtusia znać to wyraźnie. Jego oczy są przymknięte, zwężone i tym właśnie wyraźniejsze. Frycek ma minę zaskoczonego dziecka. Wstyd mu, że nie może im dorównać. Rumieni się, miesza i opuszcza oczy.

Ale tu Jagusia bierze go w obronę:

— Frycek tu stanie i bedzie patrzył, cy prosto robimy!... Chodź, Frycek, tu!

No, nareszcie ma jakąś robotę. Frycek nie myśli o zasłudze Jagusi, o jej doskonałym rozwiązaniu sytuacji. Przesuwa się na wprost zastawy i udaje, że pracuje.

Kiedy Antoś przyniósł urwaną darnę, Wojtuś rozkazał:

— Kładź tu, tylko nie za mocno, zebyś mnie nie zapryskoł!

Frycek spojrzał z góry, ocenił i dodał:

— Tak, dobrze, tu!

Musiał przecież dać dowód, że swoją rolę wyznaczoną mu przez Jagusię pojął w sposób właściwy.

Kiedy Antek położył bryłę, znowu padł rozkaz Wojtka:

— Jasiu! Piosek! Tu syp! Tak! Jagusia, dowej dorne!

— Tak, dobrze! — dodaje Frycek swoje trzy grosze.

Czynności się powtarzają i grobelka rośnie prędko. Padają raz po raz te same rozkazy. Nareszcie wszystko gotowe. Woda się wzniosła, zalała błoto i nawet jej za dużo. Teraz znowu trzeba jej upuścić trochę.



— O, za duzo wody! Masło byłoby za rzodkie! Zrobie upuścik!... — podejmuje się zadania Wojtek z własnej a nieprzymuszonej chęci.

Ruszył do pobliskiej wierzby, ułamał gałąź i obcina ją k o z i k i e m. Potem u l i n i ł korę, czyli zerwał ją tak, że otrzymał rurkę. Inne dzieci korzystają już z czasu i „robią masło". Każde wchodzi w płytkie błoto i depcze przebierając w miejscu nogami. Błoto rozrabia się w lepką b r y j ę i przylega do nóg tak mocno, że trudno dzieciom stopę oderwać od ziemi.

Wywołuje to wiele ochoty.

— Patrz, jakie moje! — mówi Antoś pokazując stopę.

— A moje, ooo! — chwali się Jagusia.

— I moje nienojgorse! — idzie za nimi w ślad Jasio.

Frycek w tym czasie przeżywa mękę. Wstaje i siada. Zrywa się, podbiega ku wodzie i cofa się.

— No, chodź! — zachęca go Wojtuś.

— Kiedy moje k i u l o t k i... — broni się wstydliwie Frycek.

— Eee tam: kiulotki — gani go Jagusia — przecie mówiłam ci nieroz, ze portki...

Wreszcie Frycek się decyduje. Siada na trawie, ściąga buciki, zawija nogawki i wchodzi w wodę.

— O, patrzta! I Frycek wlozł! — woła Jasio.

— Tak, to rozumie — chwali go Jagusia za postanowienie. — Chodź, Frycek, tu, koło mnie, tu jest dobre „masło" — dodaje zachęcająco.

Wojtek ulinił rurkę, zatknął ją w zastawę i woda otrzymała teraz stały odpływ. Sam po dokonaniu tego wszedł w błoto i zrównał się w zabawie z towarzyszami pastwiska.

Stało się jednak w pewnej chwili, że Frycek złowił uchem jakiś dźwięk. Było to wtedy, kiedy przechodził najbliżej zastawy. Stanął w tym momencie, posłuchał uważnie i odwrócił się w tym kierunku, skąd go ów dźwięk dochodził. Jakby się pytał samego siebie. Tak, to było tu. Z wierzbowej rurki zatkniętej w grobelkę wylewa się zmącona woda równomierną strużką. Spada z góry na kałużę i wy-

daje wielotonowy, k s y l o f o n i c z n y dźwięk. Zawsze inny, ciągle zmienny. Szmerek wody ten sam, a tony coraz inne...

Frycek wyraźnie nachylił się nad zastawą, zapatrzył i zasłuchał. Woda leci, pstrzy się w słońcu i g ę d z i. Chłopiec patrzy na nią z góry jak na żywe stworzenie, słyszy cały czas ciurkanie strużki wody: monotonne, a właściwie zawsze inne. Nieskończona pieśń — wielotonowa i różnobrzmiąca.

Dzieci stanęły w swojej robocie „masła" — patrzą na Frycka i widzą z boku spadającą wodę razem z jego urzeczoną twarzyczką zasłuchanego dziecka. A on powoli wyciąga nóżki z błota, powoli wychodzi na brzeg i siada na trawie tuż przy strużce wody patrząc się w nią, jakby tam chciał dojrzeć ów zaczarowany instrument, na którym niewidzialna ręka wygrywa uchwytną zmysłami pieśń.

Po chwili wychodzi z rowu Jagusia, siada koło niego i też tam patrzy. Chłopcy obserwują ich oboje. W pewnej chwili odzywa się Wojtek:

— Oho, Frycek znowu się zapatrzył. Chodźma tam i my!

Wychodzą wolno z rowu i siadają rzędem, dekorując brzeg swoimi nogami utaplanymi w błocie do pół goleni. Kapeluszami, czuprynami i ubraniem.

Teraz odezwał się Michał. Jakiś czas patrzył na zabawę dzieci, a potem, znudzony jednostajnością zdarzeń czy poruszony urzeczeniem Frycka zapatrzonego na strumyk wody, wyjął piszczałkę, poślinił językiem, przytknął do warg i zaczął grać — oberka. Zrazu cicho, drobno, powłóczyście —

jak tylko na piszczałce wygrać można: coś jak flecik, jak p i c c o l o — a potem mocniej i szybciej.

W pewnej chwili Jagusia patrząc z boku na Frycka mówi do niego:

— Frycek, a co ty tam widzis? Rybe?

Ale Frycek nie mówi nic. Urzeczone, nieprzytomne oczy znad wody przeniósł w przestrzeń i zdawał się słuchać jednym uchem wieloszelestu wody, a drugim pieszczotliwej, fletnej gry Michała.





Z okna oficyny wychyla się pani Szopenowa i woła łagodnym głosem:

— Hipolicie!

A po chwili:

— Frycek, do grania!

Hipolit, rozmawiający na ławeczce zawzięcie z ogrodnikiem, odrywa się od wspomnień, zwraca ku oknu i pokonując własny nastrój oddalenia od rzeczywistości mówi z roztargnieniem:

— Frycek? A, zaraz!

Odwraca się trochę nieudolnie i starczo, ogląda naokoło, szuka wzrokiem, wreszcie woła:

— Frycek, do nauki! Frycek, h u n c w o t chłopak!

Pani Szopenowa znowu przez okno powtarza:

— Hipolicie! Frycek do grania!

Na to ponaglenie Hipolit zostawia ulubioną ławeczkę i ogrodnika, drepce do okna w sposób mający zdradzać jego niecodzienną gorliwość, podchodzi do pani Szopenowej, rozkłada ręce na znak bezradności i s u m i t u j e się:

— Nie ma go, mościbrodziko! Nie ma! Gdzieś prysł. Pod ręką mi chyba, bo przecież oczu z niego nie zdejmowałem!

Pani Szopenowa mu na to:

— Może znowu u dzieci na pastwisku... Proszę go sprowadzić natychmiast!

Hipolit wpada w ton słów pani Justyny:

— Pewnie znowu z chłopakami. A tak go pilnowałem! Skaranie boskie z tym chłopakiem! Ino szukaj i szukaj!

A na pastwisku dzieje się to samo w dalszym ciągu. Michał podparty na łokciu gra cicho i niby niedbale, ale szybko, drobno i kusząco. Frycek słucha zatopiony w swoich zwidach jak przedtem. Koło niego Jagusia, na której twarzyczce żłobi się rys bolesnego grymasu — chce koniecznie coś z tego zrozumieć, uchwycić, przełożyć na swój zrozumiały język, więc przenosi wzrok z rozmodlonego Frycka na Michała, to znowu z Michała na Frycka.

Chłopcy — niby senni, niby znudzeni — siedzą, leżą, pół leżą. Patrzą w niebo. Patrzą na pastwisko. Patrzą na Michała, na Frycka, ale wzrok ich nie zdradza już tego nadzwyczajnego zainteresowania — sprawa jest niby zdarzenie codzienne, zwykłe, które się przyjmuje jak sto innych na pastwisku: przelatuje trzmiel, przelatuje motyl, przefruwa jakiś ptak — dudek lub trznadel — przepływają chmury na niebie nad głową. Więc i Michał gra, i Frycek siedzi. Dobre i to. Na pastwiskowej pustyni wszystko jest dobre, co rozerwie monotonię cichego bytowania — choć z początku porwie, a potem coraz bardziej powszednieje.

Antoś, pół leżąc obrócony w stronę dworu, woła ostrzegawczo w pewnym momencie:

— Hipolit idzie!

Na te słowa Michał przerwał grę i uniósł głowę, dzieci natychmiast spłaszczyły się na ziemi, Jagusia poradziła szybko i tajemniczo:

— Frycek, w nogi!

Frycek słucha. Przypadł do ziemi, schwycił swoje buciki, przeczołgał się do olszyn i chyłkiem za nimi odsunął się daleko, potem wpadł w żyta, miedzami ł a s e m dobrnął do dziury w płocie, przez ogród dobiegł do pałacu, rozejrzał się złodziejsko na obie strony, wpatrzył się w drzwi, ale otwieraniem ich nie chcąc narobić hałasu, powrócił do okna i przez nie wśliznął się do wnętrza.

Ustawiwszy buciki w kącie za fortepianem szybko siadł i zaczął grać. Po kilku dźwiękach wydobytych rzuconą ręką na klawiaturę — dźwiękach,

które były poszukiwaniem — przeszedł na Michałową melodię i zagrał po swojemu: trochę z wiejska, trochę tanecznie, ale przede wszystkim dał jej ów swój Szopenowski m i t, który z oberków mazowieckich uczynił potem muzyczne arcydzieła świata.

Starszy pan Szopen pisze pracowicie. Ale usłyszał — Frycek gra. Nadstawił ucha. Gra? — a więc dobrze, wszystko w porządku, wrócił do swoich obowiązków. Jak tam w mieście nie można było go oderwać od instrumentu, tak chyba tu ta wieś tak na niego działa, że się wypuszcza na dalekie łazęgi. Że tam znów brzdąka te swoje chłopskie kawałki, to trudno — niech brzdąka. Już go tam matka skoryguje odpowiednio.

I matka właśnie również go usłyszała z kuchni. Porzuca swoją robotę, zamierza wyjść i dać mu coś godziwego ze szkoły do grania, gdy w drzwiach spotyka Kasię.

— Proszę pani, Frycek wrócił! Już gra!

Przedtem bowiem podsłuchiwała pod drzwiami o s i e w a j ą c się z lubością, kiedy usłyszała taneczną f r a z ę i krzywiąc się niemiłosiernie wtedy, kiedy Frycek przechodził na „brzdąkanie", którego nie lubiła, bo nie rozumiała.

Pani Szopenowa weszła do saloniku, rzuciła okiem na grającego syna i oniemiała ze zgrozy.

Frycek miał nogawki zawinięte do kolan, nogi do półgoleni u t y t ł a n e w błocie, na siedzeniu mokrą plamę. H o r r e n d u m — rzeczy okropne!



Ale grał. Grał cicho, zasłuchany, prawie nieprzytomny, z zamkniętymi oczyma.

Grał mazurka.

Więc matka przeżywa męki. Należałoby syna skarcić za wybryk, ale trudno jej przerwać mu grę.

Zbliża się wolno, coraz wolniej — im bliżej Frycka, tym wolniej. Podeszła. Nachyla się nad nim coraz niżej, pocałowała go w głowę i obejmując syna rękami sparaliżowała tym samym ruch jego dłoni. Dłoni brudnych od strumykowego błota, a położonych na klawiaturze.

Dzieci bawią się pod żytem w kamienie.

Michał pół siedzi, pół leży obok nich, gryząc w zębach trawkę. Piszczałka leży koło niego.

Teraz gra Jagusia. Na wyrównanej murawie leżą niewielkie, okrągłe kamyki. Jest ich pięć. Jagusia bierze w palce jeden, podrzuca go w górę, łapie wierzchem dłoni, a potem znów po podrzucie ku górze łapie do wnętrza dłoni. Jasio podsuwa drugi i teraz tymi samymi ruchami Jagusia musi się uporać z dwoma kamykami. Udało się, choć Wojtek przeszkadzał:

— Skuś, baba, dziada! Skuś, baba, dziada!

Więc do dwóch przybywa trzeci kamyk i Jagusia opanowała trudność, nie spadł jej żaden, aczkolwiek dzieci na to tylko czekają. Bo oni przez jej błąd wejdą w grę. Siedzą kołem, łakomie śledzą szybkie ruchy Jagusi — czekają: żeby się tylko potknęła. Zdarzyło się jej to przy czterech. Kamyki wyleciały w górę zbyt szerokim rozrzutem, jeden uderzył w mały palec i nie zatrzymał się. Zsunął się bokiem na trawę.

Wojtek radośnie krzyknął swoje:

— Aha, widzis! Skuś, baba, dziada! Udało się!

To zdarzenie budzi radosny rozgwar między dziećmi — gra przechodzi na Antka. I on zaczął swoją kolejkę od jednego kamyka. Rzuca, śledzi ziemię, patrzy na swoją dłoń, na kamyki i na odległość jednocześnie.

A koło nich tuż zaraz łan żyta. Wieje po nim wiatr — ciepły, łagodny — płynący gdzieś z rozgrza-

nej dali lata. Żyto ulega naciskowi wiatru, ugina się pod jego siłą, a kiedy podmuch zelżeje, źdźbła prostują się znowu ku górze. Daje to równomierny, falisty ruch zbóż, tak podobny do falowania powierzchni wody.

*

Z drzwi mieszkania państwa Szopenów wychodzi najpierw Frycek, a potem pan Hipolit. Idą obok siebie dróżką. Pan Hipolit dla zabicia czasu na nudnym spacerze wygłasza swemu uczniowi umoralniające kazanie.

— Tak, widzisz, nie wypada — mówi nakazująco pan Hipolit — popełniłeś dwa przestępstwa. Jedno, żeś mi wczoraj uciekł bez opowiedzy, a drugie, że do tych hyclów tam na pastwisko. Tak nie można. Tam nie wypada za dużo bywać. Nauczysz się gminnych obyczajów i co z ciebie będzie? Powiedz, co z ciebie będzie?

— A nic! — odpowiada prostodusznie Frycek.

— Tak — ucieszył się Hipolit — toś prawdę powiedział: nic z ciebie nie będzie. Bo zamiast się uczyć, ty uciekasz, nie wiadomo gdzie... To masz rację... Udało ci się! A w życiu czymś trzeba być. Jeszcze taki jak ty — ziemi przecież nie macie i ojciec u obcych musi służyć...

— Mój ojciec nie służy, tylko uczy — sprostował Frycek.

— To wszystko jedno! Nie kijem go, tylko pałką! A ty, wisusie, biegasz na pastwisko zadawać się z chłopakami od krów.

— A pan Hipolit mi opowiadał, że się z Michałem zadawał...

— Ja?... Gdzie?... Co?... W imię ojca i syna!.. Kto ci to opowiadał?... Gdzie...? — przeraża się nie na żarty pan Hipolit wymachując laską z a l t e r a c j i — gdzie ja i Michał? Co ty pleciesz? Ja byłem pod Dubienką, a on zaledwie do powstania przystał...

— A pan Hipolit mówił, że na wojnie... — uzupełnia Frycek.

— Baaa, na wojnie!... Na wojnie!... Na wojnie to co innego! Tam jak się w mundur wystroisz, to cię rodzona matka nie pozna... Mundur człowieka zmienia, wojna człowieka zmienia — z a c u d o w a ł się pan Hipolit słowami Frycka.

— A pan Hipolit mówił — męczył starca dalej Frycek — że Michała znał.

— Znałem go — odpowiada Hipolit — znałem, a jakże! Dlaczego nie miałem go znać? Przecie byliśmy razem...

Tu Hipolit pomiarkował się, że rozmowa wkracza na nieprzyjemne dla niego tory, więc zmienił temat.

— Ale wiesz co? Usiądźmy trochę na tej ławeczce, bom się zasapał. Odpoczniemy, a ja ci opowiem, jak to było pod Racławicami. Dobrze?

— Dobrze — godzi się Frycek — ale to będzie o panu i Michale?

— No, o Racławicach ci mówię — sierdzi się już Hipolit — dobrze?

— Dobrze, tylko niech pan Hipolit nie śpi — godzi się już potulnie Frycek.

Woli już to opowiadanie niż ględzenie o grzeczności czy o pastwisku.



Pan Hipolit, ucierając uznojone czoło wielkim f u l a r e m, aż podskoczył żgnięty gniewem:

— Kto, ja zasypiam? Nie kłam! Przeproś mnie natychmiast! Inaczej powiem, żeś niewdzięcznikiem!

— Przepraszam — wyrzekł posłusznie Frycek patrząc na znużone oczy swego anioła stróża — ale niech pan Hipolit już mówi o tych Racławicach...

— Dobrze, ale musisz być grzeczny... — zgadza się pan Hipolit.

— Będę grzeczny — odpowiada Frycek potulnie.

Siedli na ławeczce w cieniu. Dokoła nich stał

w uroczystej ciszy park — zielony, stuletni. W upale pogodnego dnia było tak cicho i tak leniwie, że nawet ptakom nie chciało się śpiewać. Na rozgrzane ścieżki padał czasem płat światła mijających gałęzie promieni słonecznych, bijąc w oczy jaskrawizną ciepła. Gałęzie lip, klonów i dębów zwisały w powietrzu, jakby zasnęły i czekały na chłodny powiew.

Pan Hipolit rozpoczął wolno:

— ...widzisz, było to rano. Raniutko. Jeszcze mgły nie zginęły i nawet, zdaje mi się, była wtedy rosa...

Oparł wygodnie swoje plecy o poręcz ławki, wyciągnął nogi w długich butach przed siebie, otarł jeszcze raz czoło i całą twarz f u l a r e m i ciągnął dalej już trochę ciszej i jeszcze wolniej:

— ...tam stała piechota, tam kosyniery, a tam antyleria... We mgle koło nas to nawet bardzo i nie było widać...

Frycek spojrzał na twarz pana Hipolita, który ciągnął sennie dalej:

— ...stoimy i stoimy, patrzymy i patrzymy... Aż nogi bolą... aż oczy bolą... Bolą, a my patrzymy.... A tu się nic nie dzieje... nie dzieje...

Pan Hipolit przymyka oczy, opuszcza głowę na piersi i zasypia snem starca, który jest znużony i potrzebuje spoczynku. Frycek patrzy na niego chwilę, słucha, potem się zsuwa z ławki i oglądając się złodziejsko na opiekuna daje susa w krze — niknie. Zatrzęsły się tylko za nim gałęzie obłożone kwieciem i zielenią listowia.

Dzieci grają w kamienie. Teraz gra Wojtek. Łapie i podrzuca kamienie, ale gra jest teraz wolniejsza. Uczestnicy jej są już syci, pierwszy lepszy wypadek może ją przerwać i gracze odejdą bez żalu, by na drugi dzień znów do niej wrócić. Od czasu do czasu łypie któryś okiem na pastwisko, stwierdza, jak krowy i gęsi jedzą, i w ogóle szuka nowego pokarmu dla uwagi.

W pewnej chwili Jagusia rzuca radośnie:

— O, Frycek! Patrzta, Frycek leci!

Podnoszą wszyscy oczy w tamtą stronę i widzą: Frycek wyrwał się zza olszyn i sadzi wspaniałymi susami przez pastwisko.

— Chodź — mówi Antek — zagrasz z nami w kamienie!

Zasapany Frycek siada od strony łanu, pochyla się nad terenem gry, uspokaja ruchy i gotów do podjęcia prawideł zawodów — kamienieje: uderza jego słuch muzyka rozfalowanego żyta.

Wiatr pracuje. Naciska na tłum źdźbeł, które pod jego siłą kłonią się w przód — kłonią i prostują. Ruch ten trwa — ciągły, mniejszy lub większy. Ale najciekawiej wygląda sam brzeg żyta. Jaką pracę wykonuje każde źdźbło! Nachyla się kornie, ale z trudem, złamane przewagą wiatru, a zaraz potem dąży do wyprostnej po to, by znów się nachylić i jakby gniewne (w momencie nachylenia) czy zadowolone (w momencie powrotu do postawy wyjściowej) kiwa pochylonym kłosem w lewo i prawo niby w s z a r m a n c k i m ukłonie.

A cały czas brzmi muzyka potrącanych źdźbeł. Sypka, płynna, złożona z tysiąca odcieni szmerów

i półdźwięków. Podzwania, szeleści niby przesypywany w szklanym naczyniu piasek. Wzmaga się i nacicha, rozsypuje na pojedyncze tony lub gęstnieje w stężoną, mocną g ę d ź b ę i razem z ruchem łodyg tworzy żywy świat muzyki.

To chwyta wyostrzone ucho Frycka. Więc w tej chwili poszli na bok pasterscy towarzysze, zbladła chęć zabawy. Żyto grało — nie, na życie grał wiatr. Frycek cały przeistoczył się w słuch. Podniósł oczy nad ruchomy łan i kiedy w źrenice wiatr napędzał falujący ruch wierzchu, uszy chwytały sypką, płynną, szeleszczącą melodię pola.

Dzieci trąciły się łokciami: Frycek znowu jest dziś do niczego — słucha. A Michał tylekroć proszony o zagranie — teraz zagrał sam. Piszczałkowy oberek wyleciał spod jego warg, zatańcował nad pastwiskiem i wtarł się wartką melodią w uszy dzieci.





Wiatr gwałtownieje. Rzuca się na pola i wichrzy zboża — chciałoby się powiedzieć: targa czupryny żyt. Jego nagłe i niespodziewane podmuchy skręcają i szarpią gałęzie i liście drzew. Olsze przechylają się w tę lub drugą stronę, wysmuklałe i ochronnie nachylone. Wierzby tłuką konarami powietrze i siwieją od przekręconego na drugą stronę listowia, które kryło jaśniejsze spody czasu spokoju pod siebie.

W całej przyrodzie czuć zażegnięty niepokój. Ma się na burzę. Zachodnia połać nieba spochmurniała na granatowo. Górne krawędzie chmury

w kształcie białych kłębów przeświecają rażącym oczy blaskiem. Ku dołowi na najbardziej ciemnym — prawie czarnym — tle burzy migają skręcone linie błyskawic.

Dzieci patrzą przerażone. Nadzieja na zmianę — a może przejdzie bokiem? — maleje z każdą chwilą. Patrzą po polu (żyto pieni się we wściekłych podmuchach wiatru), po drzewach (gałęzie odtańcowują swoje opętańcze wywijasy), po niebie (na wybitym granatowym dywanem tle chmury znaczą się migotliwie rysy błysków) i ogarnia je strach. Huczy pierwszy grzmot. Krowy zbijają się w bezradną grupkę.

Padają pierwsze, grube krople dżdżu. Czas się gdzie schronić. Dzieci wybierają gęsty krzak olszyny, biegną sznurkiem i mieszczą się pod gałęziami razem z Michałem. Już pada na dobre, patrzą poprzez zasłonę deszczową na świat skulone i przyciśnięte do siebie. Michał zdejmuje swój s z y n e l i naokrywa wszystkich. Spod nakrycia widać główki dzieci — Jagusi, Antka, Frycka, Jasia, Wojtka — i Michała. Patrzą wszyscy na deszcz, na krowy, na drzewa i pole smagane deszczem i szarpane wichurą. Nad głowami trzepią się liście i trzaskają złamane gałązki.

Wojtuś wyciąga rękę przed siebie i woła:

— O, Hipolit!

Spojrzeli wszyscy w tę stronę — tak, widać Hipolita. Biegnie w strugach deszczu po pastwisku, ogląda się wokoło, woła przykładając ręce do ust:

— Frycek!

A po chwili:

— Michał!

W deszczu, w grzmocie, w zawierusze odpowiadają mu dzieci:

— Hop, hop!! Tu!!

Dobiega zmoknięty, zdyszany, zapada pod krzak, kryje głowę pod Michałowy szynel i mówi podczas z a s a d z a n i a się:

— Frycek, huncwocie! To ty tak robisz? To tak mamy i mnie słuchasz? Czekaj! Poskarżę się! Na taką pogodę!... Na taki deszcz!... Przecież to kataru można dostać! Ja ciebie winuję, Michał! Chłopaka mi piszczałką tu ściągasz, a ja muszę łazić po deszczu i stare kości moczyć. Takiś ty!...

Michał się nieporadnie uśmiecha i dudni przez wąsy:

— Bo jo go to ściągóm: sóm przychodzi...

Grzmoty rozlegają się raz po raz: hukliwe, bliskie, a po nich bluzga struga światła błyskawicy. Leje jak z cebra. Świat widziany spod płaszcza jest całym światem pastwiska. Smagane deszczem krowy, drzewa tańczące w wietrze, pochylone, ugniecione prawie siłą wichru zboża.

— No i co, Michał — odzywa się z przekąsem pan Hipolit — pasiesz krowy, pasiesz?

— A pase — odpowiada Michał, a wyczuwając przytyk swojego dawnego kamrata z wojska dodał — a ty jak posedeś na pański gorcek, toś przepodł, co?

Nie w smak poszła ta przymówka Michałowa

panu Hipolitowi, więc mówi na pół do dzieci, na pół do Michała i na pół do siebie:

— Ale wali, no! Jak wtedy pod Maciejowicami!... Nie, Michał?

— A tak, tak! — przyświadcza skwapliwie pastuch.

— No, walili wtedy, bo walili, ale tyś tam i nie bardzo słyszał, co? Jak cię przejechali przez tę gębę, tak amen, co? — wspomina Hipolit.

— No tak, tak — przytakuje Michał — byłbym wtedy zgnił, zeby nie ty...

— Ale byłeś ciężki jak kłoda. Ledwo cię udźwignąłem. Niosłem cię na plecach jak barana.

— O świecie nie wiedziołym... — godzi się Michał.

Humor pana Hipolita cokolwiek się poprawia.

— A, co tam wspominać smutne czasy! I tak nic, i tak nic... Może pamiętasz, Michał, jak to naczelnik przyjechał wtedy w sukmanie, cośmy tak długo czekali... Pamiętasz?

Rozlega się twardy grzmot.

— Ale bije zdrowo, niech cię! A jak grali wtedy, pamiętasz, Michał?

— Pamiętóm — godzi się pastuch Michał — nawet umie to grać na piscołce...

— Eeee? — powątpiewa Hipolit.

— Umie! — sumituje się Michał.

— No, to zagraj! — pobudza go Hipolit.

Michałowi nie trzeba tego dwa razy powtarzać. Bierze piszczałkę, przykłada do ust i gra kościuszkowskiego marsza. Dzieci najpierw słuchają rozmowy, Frycek słucha, a potem urzeka go melo-



dia żołnierskiej piosenki. Naokoło szaleje burza, rozlegają się grzmoty, deszcz pada, migają błyskawice, a Michał gra, a Frycek łowi to uchem: jego twarzyczka zdradza stan uniesienia — niby rozmodlenia, niby zasłuchania, niby rozkoszy.

Po pewnym czasie grzmoty cichną, chmury odpływają, deszcz przestaje padać. Świat jest raźny, obmyty. Na niebie zapala się łuk tęczy. Wychodzą wszyscy spod burki, spod krzaka. Są zmięci, omoczeni trochę, z liści kapie woda.

Hipolit bierze Frycka za rękę.

— No, chodź na sprawę. Będziesz ty miał!

Obrzeżony gąszczem drzew parkowych stoi pałac hrabiów Skarbków w Żelazowej Woli. Jest to pseudoklasyczna, przed kilkunastu laty wzniesiona budowla. Na ganku od strony frontu z doryckimi kolumnami stoją w wielkich donicach oleandry. Przed gankiem klomby i gazony. Budowniczy, wznoszący tę wielkopańską siedzibę, wzorował się na Arkadii Radziwiłłów i na Puławach Czartoryskich. I choć pałac nie dorównywał tamtym pod względem wspaniałości, przecież wiele cech posiadał wziętych stamtąd. Sam foremny trójkąt antyczny nad gankiem do złudzenia przypominał takąż ozdobę w świątyni Sybilli. Wokoło moc kwiecia i zieleni. Proste, gracowane ścieżki ze strzyżonymi przy nich modą wersalską drzewami tworzą rozkoszny labirynt pełen półcieni, świateł i zakamarków.

Wnętrze pałacu jest równie bogate. Pokoje na parterze, pokoje na piętrze. W każdym z nich kominki z okopconymi środkami, pełno po ścianach obrazów, nierzadko mistrza Norblina czy Canaletta. Portrety antenatów zdobią jadalnię. W sieniach aż do pułapu moc rogów jeleni, łosi, wiszą łby dzików, wypchane ptactwo: orły, jastrzębie, bażanty i głuszce. Na błyszczących, w każdym pokoju z innego drzewa, inaczej układanych posadzkach stoją meble empire, które wtedy były rewolucyjną nowością, jak każda zmiana, dopóki się nie obnosi. Izby, pokoje, salony, zieleń kwiatów domowych, lśniące podłogi. Na komodach, na stolikach powtulanych w rogi komnat i na konsolkach —

wszędzie moc kosztownych drobiazgów, którymi gospodarzy kobieca ręka.

Przedpołudnie w ubieralni pani hrabiny Skarbkowej. Jest to poważna i przywiędła, ale dostojna i dbała o siebie matrona. Od kiedy mąż jej, Fryderyk hrabia Skarbek, opuścił Żelazową Wolę wzgardziwszy rozkoszami wsi i swoją małżonką, a usadowił się w Warszawie — pani hrabina sama poświęciła się gospodarce w Żelazowej Woli. Do stolicy zaglądała bardzo rzadko, częściej za to odwiedzała krewnych i znajomych w bliższej i dalszej okolicy. O mężu wiedziała tyle tylko, że naprawdę został skrybą.

Dziś wróciła z kilkudniowego wojażu po sąsiadach i ciekawa jest usłyszeć, co się podczas jej nieobecności tu na miejscu działo. Siedzi oto przed lustrem w zatrzęsieniu koronek szlafroka zapatrzona w swoje odbicie. Garderobiana Elise sposobi jej koafiurę. W jej wykwalifikowanych rękach miga szyldkretowy grzebień układający włosy pani hrabiny w kunsztowne stróżki loków. Tylko ona jedna — garderobiana Elise — potrafi jeszcze jako tako to zrobić, zadowolić jej wybredny gust po wyczynach warszawskiego fryzjera, monsieur Antoine, który obrał sobie siedzibę przy Krakowskim Przedmieściu.

Garderobiana Elise sama przerywa milczenie:

— Może wystarczy, pani hrabino?

— Czy nie zapomniałaś, Elise — mówi hrabina Skarbkowa na to — o tym loczku przy lewym uchu? Czy się nie odgina za dużo? On jest tak niesforny! Rzadko kiedy dajesz mu radę, Elise...

— Dziś leży, jakby go przyszył — zapewnia garderobiana Elise — na pewno się nie odchyli, pani hrabino... Może go pani zobaczyć.

— Podaj mi tamto zwierciadełko, Elise — mówi pani Skarbkowa.

Hrabina bierze małe, podłużne lusterko osadzone na hebanowej rączce, ongiś dar męża, przenosi je za siebie, obraca się przed tremem i bada uważnie uczesanie z tyłu, chwytając własne odbicie w jasnej tafli szkła: przodem, z boku jednego, z drugiego.

— Może być. Teraz upinaj. Tylko uważaj, Elise!

Zaczyna się ceremonia wpinania szpilek, szpileczek: fryzura musi być wzmocniona odpowiednim rusztowaniem. Elise tworzy — nachyla się, ugina, zabiega, podpatruje. Czynna jest cała. Ruchy jej rąk, wyraz oczu i twarzy zdradzają napięcie całej duszy. Dzieło jej dnia nie może być chybione. Tym bardziej że wzrok krytyka jest bliski, podejrzliwy, wymagający, żywy i czujny.

Rola i waga codziennej czynności nie przeszkadza pogawędce, w której pani hrabina Skarbkowa wysłuchuje całej kroniki zdarzeń, jakie zaszły podczas jej nieobecności. Pani hrabina ciekawa jest usłyszeć, co się działo i dzieje w majątku, w Żelazowej Woli i jej najbliższej okolicy.

— Czy pani wie, pani hrabino, że suka Atma urodziła małe? Wczoraj wieczór się oszczeniła: ma aż sześcioro... Takie śliczne!

— Tiens! Co ty mówisz? Bardzo jest Atma zła? Broni małych? — pyta troskliwie pani hrabina Skarbkowa.



— Nie, nie jest zła. Tylko patrzy, jak brać jej małe do ręki...

— To dziwne. Zeszłego roku była bardzo rozdrażniona — kończy tym sprawę pani hrabina.

— A czy pani hrabina wie, że ta młodsza kucharka wychodzi za mąż? — robi dalszy przegląd wydarzeń Elise.

— Tiens! Co ty mówisz, Elise... I za kogóż to?

— Za pisarczyka z drugiego podwórza... Wybierają się do pani hrabiny z prośbą — mówi przymilnie garderobiana.

— Na pewno im udzielę swojego pozwolenia — orzeka hrabina Skarbkowa.

— A czy pani hrabina wie, że Frycek państwa Szopenów gra na fortepianie tak, jak grają na wsi?

— Nie wiem, Elise, bo skądże? Wiesz przecież, że byłam kilkanaście dni nieobecna i nie mam pojęcia, co się tu działo. Dawno już Frycka nie słyszałam.

— Gra... — zapewnia garderobiana Elise. — A pan Mikołaj Szopen wrócił już do Warszawy...

— Wrócił? — zdziwiła się hrabina. — Nawet się ze mną nie pożegnał?

— Martwił się córeczkami, które zostały same w Warszawie. Może chore? — tłumaczy go Elise.

— Ach, tak... To trudno zatem. Muszę więc wybaczyć mu tę ucieczkę. Myślałam...

Myślała o mężu, o którym miała nadzieję czegoś się od pana Mikołaja Szopena dowiedzieć.

— Czy wolno mi zapytać — podchwyciła garderobiana Elise — co pani hrabina myślała?

Pani hrabina Skarbkowa milczy wymownie. Daje znak, że tu jest granica, gdzie kończy się ich poufałość. Dalej nie wolno im obu kroczyć. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Milczenie pokryje wszystko i zatrze ślady chwilowej słabości uczuć.

— Może by pani hrabina chciała posłuchać Frycka? — odzywa się po chwili garderobiana Elise. — Podobno naprawdę bardzo ładnie gra.

— Pewnie, że go posłucham chętnie, choć słuchałam go tyle razy. Elise, przyznaj się, że ty tam byłaś?

— Tak, byłam... słyszałam... A czy pani hrabina sama by tam nie poszła posłuchać?

Pani hrabina demonstracyjnie umilkła. Elise znów się nadto zagalopowała. Pani Skarbkowa wyczekała pewną chwilę, chwilę wystarczająco długą, ażeby Elise zdołała się opanować i odczuć swój nietakt. Zmieniła kilka systemów sznurowania ust. Wreszcie odezwała się z powagą cedząc słowa:

— Widzisz, Elise, to już jest artysta prawdziwy i trzeba go inaczej traktować. Nie tak łapu-capu. Przyjmę go uroczyście u siebie. Będzie kilku naszych gości z sąsiedztwa. Po to przecież jeździłam. Dobrze się składa, że o tym mówisz. Powiesz pani Szopenowej, niech przyjdą dziś po południu do pałacu. Posłuchamy chętnie. Zakomunikujesz im to, Elise... Ale uroczyście, pamiętaj!

— Dobrze, pani hrabino — przyświadcza uradowana Elise.

Po skończeniu czesania Elise sznuruje pani hrabinie gorset, nakłada suknię, upina, przystraja koronkami szyję i różuje twarz. Pani Skarbkowa obraca się przed lustrem — toaleta jest gotowa. Teraz może włączyć się w szerszy krąg spraw swojego hrabstwa. Przyjąć interesantów, administratorów, potem gości.

Elise chce być pewna i dokładna:

— A kiedy mają przyjść, pani hrabino?

Hrabina się uśmiecha:

— O czwartej, wiadomo. Dziś o czwartej — mówi.

Elise znika — poszła zawiadomić, że pani wkrótce zacznie prosić.

Potem Elise wybiega z pałcu, mija dróżki i klomby, drzewa i aleje. Idzie do oficyny, w której

mieszkają państwo Szopenowie na czas wakacji Frycka. Wpada na pana Hipolita. Stary siedzi na ławeczce podparty laską. Przed nim Frycek wyprężony na baczność. Tak zastaje ich Elise i wita głośno:

— Dzień dobry, panie Hipolicie! Dzień dobry, Frycek! Mamusia jest w domu? Bo ja do was z ważną nowiną!...

W odpowiedzi na jej szybkie słowa mówi Frycek:

— Jest!

A tuż za nim zaraz Hipolit:

— Co za ważna nowina? Poczekaj no, Zbietka!

Hipolit daleki jest od francuszczyzny swojej kuzynki, żeby znaną prawie od dziecka Elżbietę — popularnie wołaną po mazowiecku Zbietką — mianować z cudzoziemska Elise. Ho, ho — on nie taki. Nie da rady. Pani hrabina Skarbkowa może, jej się to może podobać, bo to takie pańskie f u m y — moda. Ale jemu te rzeczy nie imponują. Zbietka i tyla.

Pan Hipolit wzorem wszystkich ubogich krewnych zależnych od szkatuły swoich bogatych patronów nie lubił hrabskiej kuzynki. Krył się z tym, męczył, ale w głębi duszy zły był i na nią, i na siebie.

— Nie mam czasu! — woła Zbietka drażniąco. — Muszę się śpieszyć.

— Zbietka! — woła za nią rozkazująco Hipolit, ale nie usłuchała go — furknęła falbankami i koronkami sukni obficie w fałdy zaopatrzonej — przepadła za k r z e m.



Pani Szopenowa wychodziła właśnie z domu — spotkały się więc akurat nos w nos z Elise.

— O, pani Szopen, co ja dla pani mam! — woła z przesadą Elise, r e c t e Zbietka — co ja dla pani mam!

— Co takiego? — mówi lekko strwożona pani Szopenowa.

— Pani hrabina prosi Frycka dziś do pałacu — wyrzuca z siebie wiadomość Elise jednym tchem — ale uroczyście, nie tak łapu-capu. U-ro-czyś-cie!... — podkreśla mocno — tak sobie życzy pani hrabina...

Pani Szopenowej zabiło serce skutkiem przeżywania zmiennych nastrojów uczuć radości i niepokoju. Co ta uroczystość ma znaczyć? Dawniej nie tak przecież było!

— Frycka? Do pałacu? Dziś?... Po co? — mówi lekko zaniepokojona.

Elise trzepie jedno za drugim:

— A to ja pani hrabinie powiedziałam, że Frycek państwa gra na fortepianie tak, jak śpiewają na wsi, że... bardzo ładnie nawet. I pani hrabina powiedziała, żeby Frycek przyszedł pograć przed panią hrabiną i gośćmi — dziś o czwartej. Ale przecież sam nie przyjdzie, musi go ktoś przyprowadzić. Jeszcze by się sam mógł zalęknąć przed panią hrabiną i mnie s k o m p r o m i t o w a ć, a do tego nie można dopuścić. Z panią będzie mu raźniej. Dawno przecież nie był na pokojach... To nic dziwnego — dodaje od siebie wyrozumiale.

— Frycek do pałacu... — szepcze pani Szopenowa — dobrze.

Elise odchodzi, rada ze spełnionej misji. Dla matki Frycka teraz rozpoczyna się chwila radości i zmartwień. Jak postąpić? Jak się ubrać? Jak zachować? Syn ma popis! A choć miał ich już tyle, każdy jest jednakowo cenny i każdy nie może być zlekceważony. To są bardzo, bardzo ciężkie sprawy i nie można ich puścić byle jak. Ale przede wszystkim trzeba działać. Woła w ogród:

— Frycek! Frycek!

Nie widać i nie słychać nic. Więc niecierpliwość każe jej ruszyć samej na poszukiwania. Wychodzi zza krzewu (zza tego samego, za którym zniknęła Elise przed chwilą) i widzi: pan Hipolit męczy Frycka w dalszym ciągu. Chłopiec stoi w postawie szermierczej w lewo trzymając leszczynowy pręt w rękach zamiast karabina.

— Frycek, do domu!

Pan Hipolit wstaje, lekko zgorszony. Ociera głośno nos fularem i mówi:

— Zdaje mi się, mość dobrodziko, że to trochę przedwcześnie. Czyby już koniec pauzy? Niemożebne!

Ale tu pani Szopenowa wypala:

— Frycek zaproszony uroczyście do pałacu!

Na te słowa Hipolit zamienia się w słup soli.

— Frycek do pałacu? Frycek? Uroczyście? Po co? Nie znają go tam czy co?

— Na koncert! — rzuca pani Szopenowa z akcentem wyraźnego tryumfu w głosie.

Pan Hipolit drgnął i porusza wąsami w przypływie nagłego szacunku dla wychowanka. Robi minę, jakby opanował mimowolną chęć stanięcia przed nim na baczność.

Frycek idzie do domu z matką.

Ta krótka droga jest już inną niejako drogą. Będzie się popisywał! Rozpiera go radość.

W mieszkaniu następuje spotkanie ze służącą Kasią: ta sama nowina.

— Kasiu, idę grać do pałacu! Pani hrabina mnie zaprosiła uroczyście! Będę grał przy gościach!

Kasia d e l i b e r u j e i patrzy z uznaniem na malca.

— Ty do pałacu? A to co? W c i u r n o ś c i,

przecie tyle razy tam byłeś! Tylko się nie przewróć, bo tam ślisko podłoga! Pamiętej!

Kucharka Marta jest bardzo wybuchowa. Stawia oczy w słup, wypuszcza z ręki rondel i daje upust swojemu zdumieniu:

— Ty, Frycek, do pałacu? No, to cóż takiego? A po co?

— Jak to po co? Będę grał! — odpowiada przytomnie Frycek.

Marta jednak nie lubi, kiedy Frycek przy niej za dużo się puszy. Zaraz więc rozpoczyna swoje:

— A bo ty grasz? Brzdąkasz tylko i nic więcej! Żebyś to grał! Na swoim fortepianie to jeszcze, ale w pałacu pewnie nie dasz rady...



Dzień jest prawdziwie pogodny. W ulewie słońca stoją drzewa rozległego parku. Wielka stara lipa z ogólnego kształtu podobna do olbrzymiej kopy zieleni podgarnia pod siebie okrągły plaster cienia. Wyniosły dąb dwie chropawe rosochy rozpręża ku górze, jakby się chciał wyrwać z ciasnoty podobnych mu towarzyszy. Klony osypane drobiazgiem ostrych liści w gąszczu swych gałęzi chowają tajemnicę delikatnego pnia. Najsmuklejsze wszakże są mazowieckie, nadwiślańskie topole, którym ziemie Żelazowej Woli smakują wybornie. Śmignęły więc w górę tak daleko, że przerosły nawet świerki i sosny, rzadko tu i owdzie powtykane niby dla omroczenia ciemniejszym kolorem ich szpilek jasnej zieleni całego parku. Cienie i plamy świetlne

pokładły się na żwirowanych ścieżkach i w przerwach między koronami drzew, pod którymi ciśnie się gąszcz podszycia: jaśminy, berberys, kaliny, bzy i krzewiny śnieżki. Grzywacz pohukuje w dębach przeczekawszy okres skwarnego południa. Czasem zerwie się z gałęzi w rozjarzoną przestrzeń, klapnie uwodzicielsko skrzydłami i na moment zawiśnie w powietrzu, jakby pokonał prawo ciążenia ziemi — ale nie, rusza znowu skrzydłami i fruwa dalej. Znowu klapnie, zawisa i posuwa się naprzód. Inne ptactwo milczy lub cichcem pod gałęziami szuka żeru dla młodego potomstwa.

Zbliża się czwarta. Pani Szopenowa, już ubrana, stroi syna. Zapina mu i poprawia biały kołnierzyk pod szyją, bo synek jest troskliwy o swój wygląd zewnętrzny. Odsuwa się od niego, by należycie ocenić przystojność własnego dziecka. Patrzy na świeżo uczesane włosy, na nowe odświętne ubranko z ciemnozielonego aksamitu, w którym jedynakowi tak bardzo do twarzy. W ceremonii odziewania uczestniczą wszyscy domowi i przyjaciele. W jednych drzwiach stoi Hipolit, a w drugich, od kuchni, Kasia z kucharką Martą. Wszystko to uroczyste, poważnie uczestniczy w akcie strojenia — strojenia, za którym stoi wizyta w pałacu i koncert.

Frycek daje sobą kierować zupełnie bezwolnie. Wie, że wszystko to jest dokonywane z widokiem na jego korzyści. Lubi, kiedy jest ośrodkiem, koło którego wszystko się obraca. Mycie, wciąganie ubranka traktuje jako rzeczy konieczne, które ułatwią mu górowanie nad innymi ludźmi. Interesuje go poza tym jeszcze co innego.

— Dużo powozów przejechało, panie Hipolicie?

— O, dużo! — mówi zdawkowo Hipolit.

— Ale ile dokładnie? — chce wiedzieć Frycek.

— Coś pewnie osiem... — uzupełnia stary przyjaciel.

Matka ostatnim pociągnięciem dłoni głaszcze włosy swojej pociechy, jakby dawała znać otoczeniu, że teraz przyszedł czas na pochwały.

— Może być — mówi pan Hipolit skąpo, ale zatwierdzająco.

— Proszę pani, tam jest fałdka koło pachy — dodaje troskliwie Kasia.

— Gdzie? — pyta zaniepokojona matka.

— O, tu, tu! — Kasia podbiega i ukazuje fałdkę na plecach koło pachy.

Ta fałdka jest zresztą urojona. Dowodzi tylko wysokiego stopnia troskliwości, z jaką „te z kuchni" podchodzą do Fryckowych spraw.

— Frycek, głowa do góry! Wyżej, wyżej! Zawsze o tym pamiętaj, bo ty się garbisz. Głowa do góry, po żołniersku! — nie zapomina o swoim pan Hipolit.

Wreszcie wszystko gotowe. Mamusia ubrana w biało-błękitną krynolinę z małym dekoltem, synek wymuskany odświętnie: buciki, ubranko, kołnierzyk jasny pod brodą, włoski. Białe mankietki przy dłoniach. Domyty starannie.

Jeszcze tylko laseczka do ręki.

Teraz rozpoczyna się ostatni etap kształcenia: pokazanie i sprawdzenie, w jakim stopniu winien być opanowany przepis towarzyski. Mamusia wychodzi z siebie.

— Ja wejdę i powiem: — Dzień dobry państwu! — a ty będziesz koło mnie. Oni naturalnie zainteresują się tobą i zaczną wypytywać. Mów śmiało i prosto patrz w oczy. Nie zrób mi, dziecko, wstydu. Ja dygnę, a ty się ukłonisz nóżką. Powtórz, jak się nazywasz?

Frycek mruży oczy i odpowiada łobuzersko:

— Fryderyk Szo-szo-szo-szopen...

— Nie jąkaj się — upomina matka.

— Ja się nie jąkam. Wprawiam się — wyjaśnia syn.

— Tylko się nie pomyl. Panie całuje się w rękę. Chrzestną przede wszystkim.

— Mamusiu — mówi Frycek — a mogę przy tym zrobić zeza?

— Co? — strofuje go matka. — Ani mi się waż! Miałbyś ty za swoje! Pamiętaj! No, ostatni raz: ukłoń się razem ze mną!

Mamusia dyga, synek szurga nóżką i mówią razem przed urojonym obliczem słuchaczy:

— Dzień dobry państwu!

Pani Szopenowa żegna się krzyżem świętym, wychodzą wreszcie, idą alejką przez park, dostają się do drzwi oficjalnie od frontu, gdzie kolumny strzegą wejścia przeznaczonego dla ludzi godniejszych. Drzwi otwiera im Elise — przybrana na biało, uśmiechnięta sztywno — przyjmuje w dniu dzisiejszym gości.

Frycek jest tą uroczystością trochę już przestraszony i pragnie się z tego uczucia wyzwolić. Igra w nim diablik maleńkiej przekory. Atmosfera niezwykłości bawi go i śmieszy, choć mu się podoba. Biały ubiór Elise wywołuje w nim pierwszą chęć żartu. Nastraja się uroczyście, szurga nogą w głębokim ukłonie i mówi:

— Dzień dobry państwu!

Elise roztrzepana nie zwraca na to uwagi, matka go lekko trąca, już są we wnętrzu, już Elise każe im siadać i zapewnia:

— Goście już są! Pani zaraz poprosi!

Siedli brzeżkiem na kanapie o krzywych jak u jamnika nóżkach. Sztywni, uroczyści. Mamusia jeszcze raz upomina:



— Słuchaj, Frycek, nie zrób mi tylko wstydu!

Wnętrze jest pełne przepychu, prawdziwie hrabiowska, wielkopańska siedziba: fotele, kanapy, portrety, s t o r y i b o a z e r i e. Goście wodzą po tym oczyma, które jednak nie widzą wiele. Znają to już zresztą i nie mają dużo czasu. Zjawia się lokaj w ciemnej l i b e r i i o błyszczących guzikach, otwiera szeroko drzwi i ogłasza:

— Pani hrabina prosi!

Pani hrabina Skarbkowa siedzi, goście obok malowniczo rozsypani po całym salonie. Przez otwarte drzwi i okna widać zieleń parku w dali. Matka

Frycka składa przepisowy dyg, Frycek wyuczony ukłon. „Dzień dobry państwu!“ poszło wspólnie wcale układnie. Goście są zainteresowani. Mają na twarzach życzliwe uśmiechy.

Jakaś pani powiedziała wyraźnie:

— Ach, to jeszcze mały chłopiec!

Pani Skarbkowa wyciąga rękę i mówi:

— Chodź tu bliżej.

Frycek puszcza rękę matki, chwyta dość porywczo dłoń hrabiny i całuje ją. Słyszy dobrotliwy głos:

— Jak się nazywasz?

— Frycek — odpowiedział szorstko, jakby zapominając wszelkich nakazów, i zerknął spod oka na matkę.

— Ślicznie — przyjęła do wiadomości pani hrabina i bada dalej:

— A kogo lubisz?

— Michała...

— I jeszcze kogo

— Jagusię... — rąbie szczerze gość.

— A mamusi nie? — pomaga gospodyni.

— I mamusię też...

— Ślicznie! — zatwierdza to pani domu i jakby wczuwając się w jego stan duchowy mówi: — W takim razie chodź, teraz nam zagrasz coś nowego... Elise tak cię wychwalała... Zagrasz nam?

— Zagram — godzi się sucho Frycek.

Drzwi do dużego salonu były otwarte, a tam już bieliła się klawiatura na czarnym pudle fortepianu. Frycek wyprzedził wszystkich. Sunął w stronę instrumentu szybko, ale dość powoli zasiadł na tabo-

recie, windując się widocznie, gdyż stołek i tu był dla niego za duży.

Gdy tylko poczuł chłód klawiszy pod palcami — ożył.

Pocisnął lekko — dźwięki...

Wtedy świat żywych i obecnych: matka, pałac, hrabina, goście — zapadł się, zniknął. Wewnętrzne poruszenie sprzed chwili, ci obcy ludzie w roli słuchaczy, ten nowiuteńki, czuły instrument odzywający się nowym, nieznanym r e z o n a n s e m — urzekły. Cała siła jego życia spłynęła w palce. Pochylił główkę nieozdobnie, zbladł — mały, niepozorny ciałem... Tylko ruch rąk.

Grał.

Zasiedli blisko niego i słuchali. Całą szkołę, którą męczył z matką, z profesorem Żywnym i Elsnerem — przegrał jedno po drugim przechodząc bez przerw, bez oddechu. Aż matka siedząc z boku spostrzegła na jego czole krople potu.

— Biegle, bardzo biegle — orzekł z uznaniem któryś z sąsiadów pani hrabiny.

Głos spłoszył Frycka. Przerwał, sądził, że padły słowa jakiejś nagany, jakiejś krytyki. Skorzystała z tego matka, podeszła i wytarła mu czoło dłonią. Zwyczajnie, po matczynemu.

— Może się zmęczył? — rzuciła troskliwie hrabina Skarbkowa.

— Nie zmęczyłeś się? — dodaje zaraz pani Justyna.

Frycek zasłuchany, jakby lekko ponury — o, nie, nie zmęczył się. Może grać dalej. Obce miejsce, no-

wi słuchacze, śliczny instrument. Wszystko to zachęca.

Mówi sąsiad hrabiny:

— A co umiesz, kochanku, tak z myśli, z pamięci?... Bo tamto — poznaję — to jest ze szkoły: sam ją ćwiczyłem w swoim czasie... Umiesz jeszcze co?

Frycek kiwa głową — umie.

— Więc zagraj — prosi pani hrabina Skarbkowa.

Pani Szopenowa cierpnie: co on jeszcze zagra? Aby tylko nie te jego „kawałki"... Tyle jeszcze przecież umie innych rzeczy. A Frycek położył dłonie na klawiaturze i już gra. Więc najpierw kościuszkowskiego marsza od pana Hipolita razem z jego opowiadaniami, w których były marsze i noclegi, wyczekiwanie i bitwa, pościg i ucieczka, śpiew i jęki rannych, turkot armat i trzaski karabinowe. A potem przyszedł Michał z piszczałką i jego oberki. Zawsze nimi zaczynał, a potem rozrastały mu się w odtwarzaniu. Do głównego nurtu chłopskiej śpiewki dołączały się i szły razem: trzepot liści na drzewie, szmer wody, szum traw na wietrze, podźwięk źdźbeł dojrzewającego żyta — jako owa wielotonowa jedność, która się narzuca słuchowi w letni czas, kiedy świat wiejski żyje pełnią życia.

Grał jednego oberka po drugim. Więc tego, którego pierwszy raz słyszał od Michała tam przy rowie. I tego, co go nuciła pod wierzbą Jagusia. I tego, którego śpiewał Antek przed wieczorem, kiedy mu się jeść chciało, a nie mógł się doczekać zachodu słońca. A kiedy Frycek lewą ręką sięgnął do basów,



to oddawał tupot chłopskich butów w tańcu, który słyszał przechodząc koło karczmy.

Zbladł Frycek z wysiłku jeszcze bardziej w pewnym czasie trwania koncertu i to obecnych jakoś oprzytomniło.

— Zmęczył się — zauważyła hrabina Skarbkowa.

— Tak, trzeba przerwać! — weszła w jej słowa matka.

— Biegle gra, prawdziwie biegle — ciągnął dalej sąsiad, kiedy oklaski się przyciszyły — nie można ograniczać jego e d u k a c j i do warunków Żela-

zowej Woli. Kto go uczył? Żywny? Elsner? Bodaj to!... Ale biegle prawdziwie... Że to taki mały, a tak gra — dziwi się sąsiad hrabiny — a może by tak co jeszcze? Nie? Jak państwo?...

Jednak nie. Panie wszystkie i pani hrabina nie pozwalają. Skarbkowa dzwoni na lokaja i rozkazuje:

— Słodycze! Proszę słodycze!

✲

Jagusia, Frycek, Wojtuś, Antek, Jasio — bawią się skakaniem przez rów. Jest taka zabawa. To tylko z pozoru na pastwisku nic się nie dzieje. Wobec ogromu wolnego czasu trzeba coś znaleźć, zająć się czymś. Coś działać, coś budować, w czymś współzawodniczyć. Michał z psem i fujarką siedzą opodal i obserwują bawiące się dzieci.

Najpierw skaczą z rozpędem. Cofają się od rowu kilkanaście kroków, plują dla zachęty w ręce, zacierają dłonie i biegnąc szybko dla rozmachu — skaczą. Skoki są udane. Frycek na równi z wszystkimi. Zrzucił buciki dla swobody i uczestniczy w zabawie migając bujną czupryną.

Zawodom towarzyszy rozmowa, w której odbija się i zachęta do wysiłku, i kpiny z nie udanego zamiaru.

— Cekejta, jo piersy! — krzyczy Wojtek i cofa się do tyłu, aby nabrać rozpędu.

Tyle osób na niego patrzy, więc nie chce im zrobić zawodu. Biegnie, natęża ciało w wysiłku, zaciska zęby, skacze.

— Dobra! — krzyczą inne w dowód uznania.

— Jak łatwo! — woła Wojtuś już po drugiej stronie.

— Tero Frycek! — rozkazuje Antek.

Frycek wykonuje ten sam zespół czynności, co i Wojtuś, łącznie z popluciem w garście. Cofa się, pochyla, marszczy czoło, biegnie i skacze.

— Dobra!! — wiwatują dzieci. — Tero ty, Jagusia!

Jagusia w usprawnieniu różni się od chłopców tylko sukienką. Powtarza te same zabiegi, co i oni, skacze i znajduje się po drugiej stronie.

— No, Jasiu, tero na ciebie kolejka! — decydują dzieci po drugiej stronie.

Jasio ulega woli gromady, skacze. Patrzą na niego wszyscy już z drugiej strony rowu.

— Antek, nie cekej! — wołają zaraz po pochwale Jasia: „dobra!".

— Dobra!! — kwitują Antka, który wykonał skok.

Teraz się warunki gry zaostrzają. Następują skoki z miejsca. Trzeba, stojąc na brzegu koryta strugi, tak skoczyć odbiwszy się nogami, żeby przesadzić rów. Próby idą kolejno. Obostrzenie warunków gry skupia dzieci i wysuwa na czoło takiego, który może dać dobry przykład. Początek próby sprawności nie może się odbyć pod znakiem niepowodzenia.

— Tero z miejsca bedziemy skokać! Wojtek, ty piersy!

Wojtek docenił należycie swoją przodującą rolę, wysunął się nad brzeg, podparł lewą nogą, popluł i potarł dłonie. Zaczął ważyć lekko całe ciało, a po-

nieważ podobne było to do wahania się, więc dzieci go odruchowo zachęciły:

— No! Skoc! Dali!

Wojtuś odbija się całym natężeniem nóg, skacze.

— Dobra!! — w głosach dzieci czuć pochwałę, zazdrość i uznanie.

Opinia gromadki, tak zawsze niepojęta, nieuchwytna, trudno czytelnymi kierująca się zasadami, wysuwa teraz Jagusię.

— Tero Jagusia! — krzyczą dzieci. — Jagusia, na nią kolejka!

Jagusia ulega naciskowi. Powtarza wszystkie warunki podpatrzone u Wojtka, skacze, ale noga jej się obsuwa i dziewczyna razem ze swoją kiecczyną pada w rów. Pryska woda, bucha śmiech, rozlega się plusk i pada dziecięcy okrzyk:

— A, cha, cha, cha! Coś ty, Jagusia, coś ty! A, cha, cha, cha!

Jagusia wychodzi z wody z żałośnie uśmiechniętą miną, staje obok Wojtka po tamtej stronie i wyżyma swoją kieckę z wody.

Jakby chcąc uciechę zrobić sobie pełniejszą dzieci wypychają Frycka:

— Tero Frycek! Frycek tero za Jagusią! Dali, Frycek!

Ale Frycek jest ostrożny: odmawia tej kolejki, cofa się do tyłu obronnie i woła na cały głos:

— Nie, nie! Ja nie skaczę teraz! Niech skacze Jasio! Na Jasia kolejka!

Tak wyróżniony Jasio chce stanąć na wysokości zadania. Zgodził się bez większych protestów. Skulił



się, zwarł w sobie, lewą nogę cofnął do odbicia, uchylił kolan — skoczył.

— Dobra, Antek! — chwalą następnego hałaśliwym chórem. — Frycek, ty! Cegój sie bois? Daligo, Frycek!

Frycek stanął, odbił się i skoczył.

— Dobra! Dobra, Frycek! — wołają całą gromadą z obu stron potoczka. — Tero Antek! Antek, nie cekej! Na co cekos! — zachęcają chóralnie.

Antoś jest ostatni, ale nie chce być najgorszy. Przypasował się do skoku, przymierzył, oczami zbadał kilka razy szerokość potoczka, upatrzył

miejsce, gdzie postawić pierwszą stopę — skoczył: źle!... Buchnęła woda, rozległ się śmieszny pisk patrzących.

— A, cha, cha, cha! A, cha, cha, cha! Antek, coś ty! Antek, coś ty!

Antoś wygramolił się z rowu, usiadł i zaczął wyciskać nogawki z wody. Dzieci obstąpiły go kołem i zaczęły przygadywać:

— To nic, Antek! Jak sie wysusy, to sie wykrusy! Patrz na Jagusie, juz prawie wyschła!

Antek nadrabia miną, sznuruje wargi na znak, że wypadek zbagatelizował zupełnie.

— To nic, zaro wyschnie. Zacym zejde z pastwiska — mówi — to nie bedzie śladu!...

Ale przez ten ton udający niefrasobliwość przebija się opanowywana chęć płaczu.

Frycek usiadł z boku i mówi raptem do dzieci, jakby sobie coś przypomniał:

— A ja jutro z wami już się nie będę bawił...

Zwrócili się do niego wszyscy twarzami, jakby chcieli wybadać, czy żartuje, czy mówi poważnie. W ich oczach pytanie zawisło lekką troską.

— Lo cego? — mówi Jagusia.

— Jadę do Warszawy...

— Do Warszawy? Po co? — dziwią się dzieci.

— Już koniec wakacji przecież... — wyjaśnia Frycek.

— A co tam bedzies robił? — pyta znowu Jagusia.

— Uczył się...

— Cego? — ciekawi się Antek.

— Grać... — wyjaśnia Frycek.

— A przecie juz umies, nie? — podbiera go Wojtek.

— Ale ja chcę umieć więcej — dodaje Frycek ambitnie i wyraża to miną.

Wojtek go ściąga na ziemię:

— Eeee, Frycek, gros i gros, a nóm nic z tego. Zebyś to nóm choć roz zagroł...!

Uśmiechnął się złośliwie i patrzył na twarz Frycka. Tak samo jak i on uśmiechała się reszta dzieci. Ciekawe było, co też Frycek powie — co też Frycek zrobi.

— Dobrze, zagram dla was — godzi się niespodziewanie łatwo Frycek.

Tą łatwością onieśmielił dzieci. Złośliwość ich zagasła, ciekawiło ich tylko, jak on to zrobi.

— Ba, ale jak? — wątpi trochę Jagusia.

— Jak? A zwyczajnie... Czekajcie, niech trochę pomyślę...

Frycek zamilkł, okręcił się dokoła na pięcie na znak poważnego traktowania sprawy.

— Pójdziecie ze mną, usiądziecie w krzaku pod oknem, a ja wam zagram w pokoju... Tylko musicie cicho siedzieć... Michał wam popilnuje krów, nie? Michale, popilnujecie krów?

Michał godzi się bez większych sprzeciwów, tylko upomina, żeby dzieci za długo nie siedziały.

— Dobrze, przypilnuje...

Dzieci zbijają się w grupkę i ruszają. Mijają pastwisko, łąkę potem, wchodzą następnie na miedzę i po żytach dochodzą do parku. Przy płocie marudzą pewien czas na poszukiwaniu dziury, przechodzą płot i są w ogrodzie. Tu się skradają od

krzaka do krzaka, od pnia do pnia — jest ich więcej, to i ostrożność muszą zachować większą. Znajdują odpowiednie miejsce w krzaku, sadowią się w nim, uspokajają — Frycek odchodzi. Zapada cisza, nie dzieje się nic. Koło nich zasłuchany w upale ogród i pałac królujący nad krzewami, a nad nimi tylko drzewa: kopiaste lipy, smukłe topole, siwy białodrzew, trójkąty świerków ciemnych i iglaste parasole sosen. Pomiędzy nimi wiją się pasy ścieżek, białe od wysuszonego żwiru, poplamione cieniami. Koło nich krzewy, ogrodowe zaułki i ustronia.

Pani Justyna Szopenowa smaży konfitury. Układa w słoiku gęsty płyn, patrzy pod światło na kolor. Musi wykorzystać tę bytność na wsi i przywieźć córeczkom w Warszawie smakowite prezenty. Tam na miejscu tak o to przecież trudno. W tym momencie wchodzi syn. Przypatruje się czynnościom matki z miną cokolwiek rozkapryszoną.

— Mameczko, daj łyżeczkę! — prosi Frycek.

— Dobrze, dam ci. Dostaniesz za to, żeś sam przyszedł ze spaceru...

Daje mu łyżeczkę konfitur, Frycek je i mówi:

— Mamusiu, mogę pograć?

— A nie czujesz się zmęczony? — troska się mama.

— Nie, mameczko!

— No, to zagraj. Bardzo się cieszę, żeś taki pilny i sam chcesz grać... Masz jeszcze łyżeczkę!

Frycek zjada, oddaje matce łyżkę i wchodzi do jadalni. Zasiada do fortepianu, otwiera wieko i gra. Przegrał marsza kościuszkowskiego, przerwał grę i wyjrzał oknem. Wszystko w porządku — spojrzały



ku niemu ostrożnie wychylone spomiędzy gałęzi twarzyczki dzieci. Proszą dalej na migi, żeby jeszcze grał. Więc wraca Frycek na taboret i gra. Teraz idą już same kawałki zasłyszane na pastwisku, na polu albo na wsi. Tak jak grał Michał przy tylu okazjach, tak jak śpiewały wieczorem na łące niewidoczne dziewki, tak jak grali na weselu, kiedy młodzi i goście szli do ślubu albo potańcować do karczmy.

Melodia wywija się z pamięci jedna za drugą jak kolorowe nici z kłębka. Każda ma swoją barwę i oprawę z rzeczy otaczających. Jedna wyryła się

w pamięci podczas szumu wiatru, druga przy tupocie tańczących nóg, inna przy monotonnym ćwierkaniu trznadla. Teraz wstaje to w myśli razem, narzuca się czuciu, słuchowi i palcom.

Gra Frycek — gra zapamiętale. Aż mu się zatarło w pamięci, że towarzysze z pastwiska słuchają ukryci w krzakach. Czuwali z początku, pilnie łowiąc uchem dźwięki fortepianu, w których poruszyła ich czymś bliższym znana cząstka muzyki. Potem jednostajność tonów, gorąc letniego dnia i bezruch siedzenia zaczęły ich nużyć. Opanowała dzieci senność. Powieki zaciężyły, oddech się pogłębił, głowa opadła — posnęli układając ciała w fantastycznych pozach.



Pan Hipolit dreptał starczo po ścieżkach wokół oficyny zajmowanej przez państwa Szopenów. Przypatrywał się obłokom, popatrzył chwilę na kołującego w powietrzu jastrzębia, zadarł głowę na wierzchołek lipy, gdzie schowane przed upałem prukały turkawki. Laską z dziobem krogulca zmierzył głębokość świeżej kretowiny. Potem słuchał gry Frycka i podchodził ku oknu. Obszedł wielki krzak jaśminu i stanął zdumiony: z krzaka wystawała noga człowieka. Mrugnął powiekami — jest. Przetarł oczy — jest. Wtedy upewniony o prawdziwości faktu podszedł, rozchylił gałęzie i ujrzał czworo dzieci śpiących w poskręcanych pozach. Odchylone głowy, otwarte usta, wyciągnięte ręce i nogi. Jedna tak właśnie nieopatrznie wysunęła się na zewnątrz.

Pan Hipolit wolno opuścił gałęzie i szparko pobiegł przed oknem w stronę drzwi frontowych. Tak go zobaczył wyglądający oknem Frycek. Starczyło mu. Obraz nogi wystającej z krzaka, widok skradającego się na palcach Hipolita dowodził niezbicie, że schowek został przypadkowo odkryty, a dzieci się pospały.

Doskoczył do fortepianu, rymnął z całej siły w klawiaturę i wrócił do okna. Zgadzało się. Zbudzone dzieci wyglądały z niepokojem ku niemu.

— Uciekajcie, bo was Hipolit widział! W nogi! — woła ku nim ostrzegawczo, a widząc, jak się chyłkiem wynoszą i przepadają w dalszym gąszczu, wrócił do instrumentu i grał spokojnie dalej.

Hipolit znalazł panią Szopenową w kuchni przy tej samej czynności smażenia konfitur. Nastroił głos na ton tajemniczy:

— Pani dobrodziko. Mam coś ciekawego. Proszę za mną...

— Ale co? — pragnie go ochłodzić pani Szopenowa.

— Proszę za mną. Tylko prędko i cicho.

Jego tajemniczy ton, jego mina serio, jego nalegania sprawiły to, że pani Szopenowa zastanowiła się. Zapowiadały coś niezwykłego. Przerwała pracę przy słoikach i wyszła za Hipolitem. Szedł szybko kryjąc w ruchach całego ciała zapowiedź niecodziennych zdarzeń.

Obszedł krzak naokoło — nogi nie było. Zajrzał przez gałęzie do środka — pusto. Znowu nie wierzy sobie. Na jego twarzy maluje się zdumienie.

— No i co? — nagli pani Szopenowa.

— Pani dobrodziko... doprawdy! Tu... tu były dzieci... doprawdy!

— Co było? — pyta równie zdumiona pani Szopenowa.

— Dzieci... tu spały...

— Oj, Hipolicie, Hipolicie! — odzywa się karcąco pani Szopenowa.

— Pani dobrodziko... świadczę się Bogiem!... Tu dzieci spały. Jeszcze znać miejsca wygniecione w trawie... Doprawdy!

— Hipolicie... Hipolicie — narzeka pani Szopenowa, stuka się lekko w czoło i zawraca do odejścia pozostawiając zawstydzonego starca.

Oknem dolatuje drobna, jakby rozproszona gra Frycka.





W płytkim zagłębieniu rowu leżą na brzuchach uczestnicy pastwiskowych zdarzeń i patrzą w stronę drogi. Tędy będzie przejeżdżał z rodzicami Frycek do poczty. Mówił im wczoraj, że dziś rano pojedzie. Chcą więc go ujrzeć jeszcze raz i patrzą pilnie: Jasio, Antek, Jagusia, Wojtek i Michał. Pies Azor siadł na zadzie i spogląda przed siebie, jakby rozumiał, o co chodzi. Za nimi na murawie jedzą w stadzie krowy i gęsi.

— Ciekawe, cy tez pojedzie? — zaczyna Jagusia.

— Eeee, chyba jesce śpi — powątpiewa Wojtuś.

— Tak, śpi! Przecie do Warszawy daleko... — oburza się Antoś.

Tak pogadując na przemiany i wyczekując dojrzeli wreszcie na drodze od strony zielonej kępy parku ukazujący się pojazd i konie — wszystko w tumanie kurzu.

— O! — pokazuje Jasio.

— Jedzie! — dorzuca Wojtuś.

— Frycek jedzie! — pisknęła Jagusia.

— Ciekawe, cy nos tu obocy? — martwi się Antoś.

Poderwali się z ziemi i patrzyli wszyscy ściśnięci w malowniczej grupce. Powóz jechał szybko. Migotała uprząż, konie kiwały głowami ku swoim kolanom. Widać było f o c z p a n a na koźle, jak trzymał sztywno lejce.

Frycek odjeżdżał naprawdę.

Powóz mijał ich szybko, jadąc z lewej strony na prawo w pewnej odległości od pastwiska. Patrzyli za nim zwracając się twarzami w jego stronę i w jego kierunku — odprowadzali go oczyma.

W pewnej chwili, kiedy podmuch wiatru odpędził tumany kurzu, zdawało im się, że drzwiczki powozu uchyliły się w biegu, wyjrzała jakaś twarz i kiwnęła ku nim ręka.

Może to ręka Fryckowa?

Ale nie było czasu zastanawiać się. Konie pędziły jakby coraz prędzej, kurz z powrotem owinął cały powóz razem z końmi.

Za zakrętem ruszyli jakby jeszcze szybciej.

— Pojechał... — westchnęła Jagusia i wskazała wyciągniętą ręką ku drodze.

Na te słowa Michał sięgnął za pazuchę, wyciągnął piszczałkę, przyłożył do warg, otwór poślinił językiem. Zaczął grać. Jakby chcąc sobie ułatwić własny wysiłek siadł na trawie. Dzieci tylko stały wpatrzone w znikający powóz, który mknął coraz prędzej, wjeżdżając z dworskiej drogi na trakt ku Warszawie.

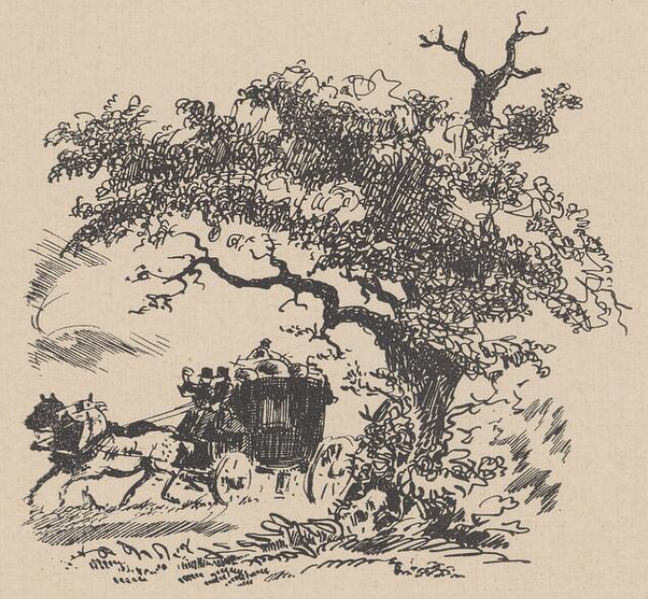



SŁOWNICZEK

a l t e r a c j a — (łacińskie) wzruszenie, niepokój, zmartwienie;

a n t e n a c i — (łacińskie) przodkowie rodziny;

a n t y l e r i a — (łacińskie) właściwie artyleria, działa z amunicją i obsługą;

a n t y p k a — (tureckie), tu: laska z pnia tureckiej wiśni;

a p a r t a m e n t y — (francuskie) duże, wytworne pokoje;

A r k a d i a — (greckie) szczęśliwa, spokojna kraina; tu: słynna siedziba i park ze świątynią Diany pod Łowiczem zało-

żone przez Helenę z Przeździeckich Radziwiłłową przy końcu XVIII wieku;

baranica — (gwarowe) czapka z baraniej skóry;

boazerie — (francuskie) ozdobne wykładanie ścian drzewem;

Brochów — wieś parafialna w powiecie sochaczewskim, w której chrzczono Fryderyka Szopena;

bryja — (gwarowe) papka, polewka, rzadkie ciasto;

Canaletto — głośny malarz włoski XVIII wieku, przebywał w Polsce za czasów Stanisława Augusta;

darna — (gwarowe) darnina, urwana lub wycięta bryła ziemi z trawą i korzeniami;

deliberuje — (łacińskie) rozważa; w gwarze: rozważanie poparte minami i cmokaniem, ruchami głowy i rąk;

doryckie — (greckie) kolumny starogreckie o głowicy bez ozdób;

Elise — (francuskie) Eliza, Elżbieta;

empire — (francuskie) sposób budowania, meblowania mieszkań i szycia strojów za czasów Napoleona I naśladujący sztukę rzymską;

foczpan — (niemieckie) albo forszpan, woźnica powożący końmi;

fraza — (greckie) cząstka melodii mająca pewne zaokrąglenie;

fular — (francuskie) kolorowa jedwabna chustka do nosa dużych rozmiarów;

gazony — (francuskie) strzyżone, foremne trawniki;

gędzić — (gwarowe) dźwięcznie szemrać i pluskać;

gędźba — (gwarowe) dźwięczne szemranie i pluskanie płynącego strumyka wody;

głowacze — (gwarowe) wierzby ścięte na wysokości człowieka, co roku obcinane z gałęzi;

hebanowa — (greckie) z drzewa hebanowego rosnącego w krajach gorących, czarnego koloru;

horrendum — (łacińskie) rzecz straszna;

huncwot — (niemieckie) nicpoń, urwis, łobuz;

kaporal — (francuskie) właściwie kapral, młodszy podoficer piechoty;

karbowy — (gwarowe) ekonom, nadzorca robotników w dawnych dworach polskich;

kierz — (gwarowe) krzak szeroko i nisko rozrośnięty;

kiuloty — (francuskie) spodnie;

klomby — (angielskie) symetrycznie zasadzone kwiaty;

koafiura — (francuskie) uczesanie;

konsolka — (francuskie) ozdobna podstawa, na której stawiano wazon lub zegar;

kozik — (gwarowe) albo cyganek, albo jaborek: nożyk składany o drewnianej oprawie;

kozica — (gwarowe) biczysko, pręt do wiązania bata;

kredens — (łacińskie) szafa na przybory stołowe;

krynolina — (francuskie) suknia bardzo szeroka, której kształt nadają wszyte w nią drewniane lub trzcinowe obręcze;

ksylofoniczny — (greckie) wydany przez ksylofon, instrument muzyczny zrobiony z drewnianych beleczek, stopniowanych co do wielkości, ułożonych na słomie i uderzanych drewnianymi młoteczkami;

kunsztowna — (niemieckie) ozdobna;

kwap — (gwarowe) to samo, co puch, delikatny gatunek pierza;

labirynt — (greckie) budowla z jednym wejściem i wieloma krętymi korytarzami;

liberia — (francuskie) ubranie służby w dawnych pańskich domach odznaczające się określonym krojem, kolorem i ozdobami;

listwa — (niemieckie) wąska deseczka dodana jako ozdoba;

łasem — (gwarowe) lub czujkiem: chyłkiem, skrycie, niepozornie;

łęgi — (gwarowe) rozległe, równe, mokre pastwiska;

łysina — (gwarowe) czoło u ludzi albo biała łata na czole u koni lub krów;

Miedniewice — miejscowość pod Sochaczewem głośna z odpustów;

mit — (greckie) podanie bajeczne o bogach pogańskich i bohaterach starożytności, tu użyte w znaczeniu określenia najwyższej doskonałości muzycznej utworów Szopena;

monsieur Antoine — (francuskie) pan Antoni;

murawa — (gwarowe) zarośnięta gęsto trawą powierzchnia ziemi;

Norblin — malarz z czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego;

obierka — (gwarowe) górny bal pod dachem na ścianie, gdzie indziej zwany owierką;

opus — (łacińskie) dzieło, utwór muzyczny albo literacki;

osiewać się — (gwarowe) wykonywać ruchy taneczne bez obrotów;

ośnik — (gwarowe) narzędzie ciesielskie dwuręczne, zwane gdzie indziej strugiem, z kształtu podobne do nawiasu kwadratowego;

parciane — (gwarowe) zrobione z najgrubszych nici lnianych;

Pepi — (włoskie) zdrobnienie od imienia Józef; tak popularnie nazywano księcia Józefa Poniatowskiego;

piccolo — (włoskie) flecik mający ton wyższy od fletu zwykłego o osiem tonów;

pokląskwa — (gwarowe) nazwa ptaka wróblowatego wielkości pliszki;

polepa — (gwarowe) podłoga lub uszczelnienie pułapu zrobione z gliny;

poszycie — (gwarowe) słomiane pokrycie wierzchu budynku;

przycieś — (gwarowe) inaczej podwalina, spodni bal oparty na ziemi, na którym leży ściana;

przypołudnica — (gwarowe) postać baśniowa mająca straszyć dzieci wśród dnia;

pseudoklasyczna — (łacińskie) wzorowana na stylu starożytnego Rzymu i Grecji;

recte — (łacińskie) właściwie, prawdziwie, słusznie;

rezonans — (francuskie) oddźwięk, słuchowe odbicie dźwięku, odgłos;

rugi — (niemieckie) słynne wyrzucanie chłopów przez szlachtę z ziemi lepszej na gorszą od czasów Księstwa Warszawskiego do 1846 r.;

skompromitować się — (łacińskie) ośmieszyć, zawstydzić;

skryba — (łacińskie) pisarz; Fryderyk Skarbek był znanym pisarzem, zostawił między innymi powieść pt. „Łukasz Stempel";

story — (francuskie) zasłony zajmujące całą powierzchnię okna;

sumitować się — (łacińskie) usprawiedliwiać się gorąco;

Sybilla — (greckie) wieszczka w starożytnym Rzymie; świątynię jej wystawiła w Puławach w parku Izabella Czartoryska;

szarmancki — (francuskie) uprzedzająco grzeczny, nadmiernie uprzejmy;

szyldkretowy — (niemieckie) zrobiony ze skorupy żółwia morskiego;

szynel — (francuskie) gruby płaszcz żołnierski;

ścibana — (gwarowe) ręcznie uszyta igłą;

taboret — (francuskie) krzesełko bez poręczy i oparcia;

tiens — (francuskie) tutaj oznacza okrzyk zdziwienia;

tremo — (francuskie) duże podłużne zwierciadło;

ulinić — (gwarowe) zdjąć z gałęzi na wiosnę korę tak, aby tworzyła rurkę, z której robi się fujarkę;

utytłane — (gwarowe) umazane błotem; ubrudzone ziemią;

wciurności — (gwarowe) okrzyk łączący w sobie uczucie zdumienia i radości jednocześnie;

wersalski — (francuskie) od nazwy pałacu i parku Wersal, siedziby królów francuskich pod Paryżem założonej przez Ludwika XIV;

węgły — (gwarowe) końce skrzyżowanych bali w budowli;

wojaż — (francuskie) podróż;

wyrko — (gwarowe) legowisko zbite z prostych desek;

wywilga — (gwarowe) wilga, ptak szarożółty z rodziny wróblowatych, gdzie indziej zwany boguwolą;

zacudował się — (gwarowe) wyraził swoje zdumienie w sposób bardzo głośny;

zasadzać się — (gwarowe) sadowić się, wygodnie siadać;

zastawa — (gwarowe) tama położona w poprzek rzeczki;

zawora — (gwarowe) drąg do zamykania drzwi od wewnątrz;

Żelazowa Wola — wieś i dwór w powiecie sochaczewskim, miejsce urodzenia Fryderyka Szopena 22. II. 1810 r.

I.F.C.
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA TIFC
513
Narodowy
Instytut
Fryderyka
Chopina
D/2





TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

FRYCKOWE CZASY

LEGENDA

NASZA KSIĘGARNIA
WARSZAWA
1949

Zbiory Stowarzyszenia
513